

Pomorski
Magazyn
Artystyczny

2/2024 (10)
Kwartalnik

2/24

Filar
Heller
Jankowski
Krzyżyńska

Lidwin
Nowosielski
Rusek
Warszewski

Spot

literatura | sztuka | krytyka | życie społeczne



**Grzegorz
Klaman**



Spis treści

- 3** **Zbigniew Jankowski**
1931 – 2024
- 4** **Polityczne aspekty w twórczości Grzegorza Klamana**
Zofia Watrak
- 10** **Wiersze**
Kazimierz Nowosielski
- 12** **Cechy szczególne pewnej baśni dla dorosłych**
Dariusz Filar
- 17** **Obrazki z nie/obecności**
Jacek Lidwin
- 23** **Żydzi sopoccy. Zagłada i odrodzenie**
Hanna Domańska
- 25** **Żydzi i żydy**
Wojciech Fułek
- 28** **Kompozytor w bufecie Siedem miniatur o profesorze Eugeniuszu Głowskim**
Franciszek Rusek
- 31** **Nucąc kołysanki**
z Grzegorzem Bronakowskim rozmawia Wojciech Boros
- 32** **Wiersze**
Grzegorz Bronakowski



Z wystawy „W labiryncie” Macieja Świeszewskiego | fot. Anna Rezulak, materiały promocyjne wystawy

- 34** **Widzimy wszystko doskonale i wszystko rozumiemy**
Janusz Heller
- 36** **Rozstrzygnięcie konkursu**
- 37** **B(a)ede(c)ker nigdy się nie myli?**
Wojciech Fułek
- 39** **Świeszewski jakże inny**
Olga Krzyżyńska
- 41** **Machać ręką nie należy**
Bożena Ptak
- 43** **Swingujący trzask migawki**
Marcin Jacobson
- 44** **Wrócić, by opowiedzieć**
Katarzyna Korczak
- 50** **Gloria Artis dla Romana Warszawskiego**
Katarzyna Korczak

Na okładce strona 1 **Grzegorz Kłaman Brame – stocznia, 2000** | fot. z archiwum autora

Na okładce strona 4 **Grzegorz Kłaman Fear and Trembling instalacja, środki mieszane 2007** | fot. z archiwum autora

Grzegorz Kłaman jest artystą bieżącego numeru „Słowa”; szkic Zofii Watrak s. 4; zbiór fotografii z archiwum autora

Redaguje zespół Jacek Borzych, Wojław Brydak, Wojciech Fułek (redaktor naczelny), Katarzyna Korczak (sekretarz redakcji)

Współpracują Wojciech Boros, Olga Kubińska, Tomasz Miłkowski, Leszek J. Pękalski, Joanna Schiller-Rydzewska, Dorota Sobieniecka, Zofia Watrak, Michał Zabłocki, Małgorzata Żerwe

Projekt graficzny Paweł Pacholec

Wydawca Jacek Borzych – Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Filmowej, Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk

E-mail: stowedufilm@gmail.com • tel. +48 58 308 43 40

Drukarnia: Bernardinum Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

Zrealizowano ze środków Województwa Pomorskiego



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Partnerzy



Zbiór fotografii i tekstów Jacka Lidwina powstał dzięki dofinansowaniu ze środków Miasta Sopotu

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku



Mecenasy ERGO Hestia Sopot

Fundacja Artystyczna Podróż Hestii



Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie

Zbigniew Jankowski

1931 – 2024

ZAŚWIATY, DESZCZ

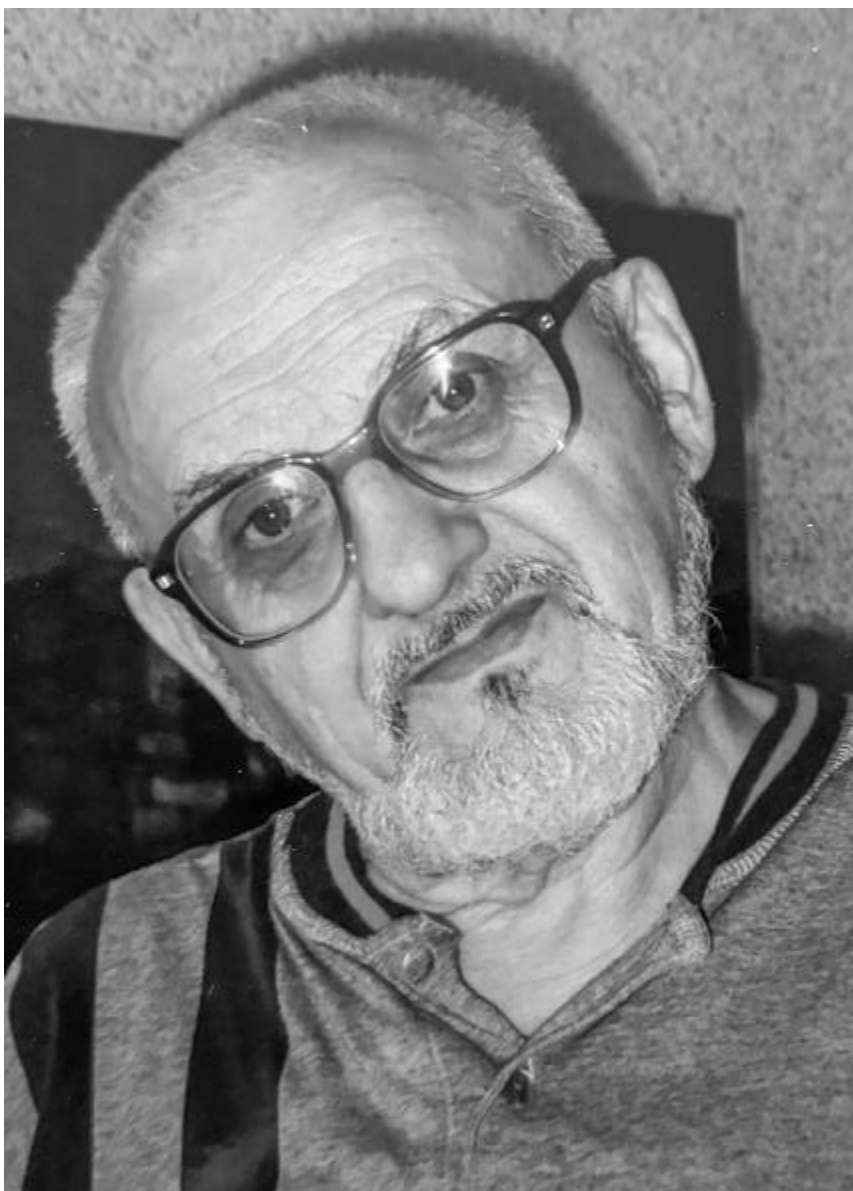
Gdy ja umrę, a ze mną
cały świat,
nie będzie dla mnie pogrzebu,
bo nie będzie mego świata.

Będzie twój pogrzeb,
moja żono,
wasz pogrzeb,
moje dzieci –
pod nieobecność moją.

Gdy ja umrę
i zabiorę świat,
wszystko będzie poza światem,
w zaświatach
waszych łez,
niepotrzebnych już
jak przedwieczny deszcz.

Gdy ja umrę, będzie padał
niepotrzebny deszcz
pod nieobecność
świata

Sopot, 31 XII 1995



Polityczne aspekty w twórczości Grzegorza Klamana

Zofia Watrak

W latach 80. zaistniało w Gdańsku całkiem nowe zjawisko sztuki niezależnej. Młode pokolenie wywodzące się z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (dzisiejszej ASP) występowało przeciwko sztuce oficjalnej i miejscom z nią powiązanym. Dla swojej aktywności artystycznej powoływali nowe przestrzenie, najbardziej znaczące miejsca w sztuce polskiej tamtych lat.



Grzegorz Kłaman *Bramy - stocznia*, 2000 | fot. z archiwum autora

Liderem nowego ruchu był niewątpliwie Grzegorz Kłaman. Twórczość jego trudno oddzielić od miejsc, które wykreował, skupiając wokół siebie artystów o bliskich postawach ideowych. Od 1984 roku prowadził akcje pod gołym niebem

w ramach „Galerii Rotacyjnej”, która pojawiała się tam, gdzie artysta i jego dzieło. Potem były „Baraki” na Wyspie Spichrzów. W roku 1985 powstała Galeria „Wyspa” na Wyspie Spichrzów, terenie dzierżawionym przez PWSSP,

gdzie oficjalnie Klaman prowadził pracownię techniczną rzeźby plenerowej. Współpracowały tam ze sobą różne formacje, których działania wychodziły poza program uczelni, choć pracownia była jej częścią. „Wyspa” współpracowała z grupą „Tot-Art.” Współtworzyli ją między innymi: Zbigniew Sajnog, Paweł Konnak, Adnreż Awsiej, Joanna Kabala, Artur Kozłowski. Z nimi z kolei współpracowali muzycy z grupy „Miłość”: Mikołaj Trzaska i Tymon Tymański. Poszukiwanie alternatywnych miejsc, wolnych od instytucjonalnych i komercyjnych uwikłań było wspólnym celem. Integracja i poczucie wspólnoty stały się wyróżnikiem niezależnego środowiska artystycznego w Gdańsku tamtych lat.

Grzegorz Klamana w latach 1986–1988 startował z pozycji klasycznej rzeźby z figurą człowieka jako jej nierozłącznym atrybutem. Tradycje zakopiańskiej szkoły Kenara, z której wyszedł, łączył z europejskim nurtem ekspresji. Jego figury „siekierą grubo ciosane” sprawiały wrażenie ciał odartych ze skóry, jakby nastawione na odczuwanie otoczenia, którym nie była galeria, a pole, kamieniołomy, ulica, wreszcie Wyspa Spichrzów. Miejsce nadawało znaczenie monumentalnym, buntowniczym pozom. Wczesna fascynacja *land-artem* miała z jednej strony podłoże silnego przeżycia związku z naturą, zwłaszcza górami, gdzie się wychował, a z drugiej antykomercyjność ideologii *land-artu* była istotna dla Klamana ze względu na sytuację polityczną w Polsce w latach 80. W szkole Kenara, w Zakopanem, był zaangażowany w podziemne wydawnictwo imienia Stanisława Brzozowskiego. Polityczne konteksty miały także rysunki na śniegu, murach, akcje z ogniem, robione wspólnie z Kazimierzem Kowalczykiem. „Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy – mówił w wywiadzie udzielonym Ryszardowi Ziarkiewiczowi – dostrzegam w tamtej aktywności pierwsze próby wyjścia z gett pracowni, uczelni, środowiska i systemu galeryjnego”¹.

Poszukiwanie miejsca było dla niego „poszukiwaniem innej przestrzeni, innego ładu, mitycznego ładu spełnienia artystycznego”². Taką „eksklawę”, czy też „eksterytorium”, staje się Wyspa Spichrzów. Porzuca tam figurę człowieka na rzecz szeroko pojmowanego otoczenia. Przechodzi na pozycję sztuki ziemi, a ta, którą miał pod nogami, uświadamiała mu wielowarstwowość pokładów historii i kultury w sensie dosłownym i przenośnym. Grzebiąc w niej, niczym archeolog, napotykał wciąż nowe fragmenty przeszłości, co prowokowało go do działań odwrotnych – zakopywania tego, co produkuje dzisiejsza cywilizacja: książek, przedmiotów, różnych materii organicznych. Tak zrodziła się w jego twórczości idea „archeologii odwrotnej”. Wyspa Spichrzów z kikutami ruin i śladami przeszłości prowokowała Klamana do zaanektowania jej jako totalnej instalacji



Grzegorz Klamana *Solidarność Camp Stocznia Gdańska*, projekt performatywny, 2011 | fot. z archiwum autora

historii. Miejsce staje się elementem konstytutywnym prac powstałych na Wyspie, a także tych późniejszych, już poza Wyspą. Stworzona przez Klamana idea miejsca jest tożsama z własnym lokalnym rodowodem i jednocześnie jest kreowaniem miejsca uniwersalnego, przekraczającego lokalność. Używając znanych powszechnie symboli, nadaje im dodatkową interpretację, jak w wypadku krzyża z *Wieży gnozy*:

Mój krzyż jest symbolem wektorów świata i jednocześnie znakiem osadzenia człowieka w świecie, tak jak to ma miejsce w różnych kulturach, które wyznaczają symboliczne centrum wszechświata, wokół którego toczy się życie. Dla mnie tym miejscem jest Gdańsk, ale również moja sztuka, która sytuuje mnie pomiędzy wschodem a zachodem Europy³.

Z Wyspą związane były *Monumenty*. Klamana łączył zainteresowanie *land-artem* i fascynację architekturą totalitarną (od zamierzczłej przeszłości po wiek XX), która była nie tylko manifestacją siły, ale także zniewalającą obietnicą nieśmiertelności. Jego *Monumenty* przywoływały charakterystyczne cechy budowli totalitarnych, obecne w różnych epokach. Komentarzem artysty było użycie dekonspirujących środków – korodujących materiałów, naruszenie zasad proporcji i symetrii, co powodowało wrażenie niestabilności i nietrwałości monumentów, jakby na przekór ideologii, która je powołała.

Przełomową instalacją, jaka powstała na Wyspie, była, wspomniana już *Wieża gnozy* (1991). Obok drewna i blachy cynkowej jako tworzywo pojawiło się po raz pierwszy mię-

¹ *Pesymistyczna odkrywka Grzegorza Klamana*, „Magazyn Sztuki”, 1994, nr 4, s. 13.

² Op.cit.

³ Ibidem, s. 14.



Grzegorz Klaman instalacja *Anatrophie*, widok ogólny | fot. z archiwum autora



Grzegorz Klaman *Człowiek niosący żółwia* 1989 | fot. z archiwum autora

so. W sztuce Klamana mięsność jest kategorią filozoficzną. Jest materią życia i jednocześnie ucieleśnieniem jego nieodwołalnego końca. Inspirującym autora odniesieniem była książka Jolanty Brach-Czajny *Szczeliny istnienia*. Z niej to wyprowadził swoistą „metafizykę mięsa”, wskazanie na cielesną, „mięsną” postać istnienia. Istotą bytu staje się nieustanne przeistaczanie, którego źródłem energii i formą istnienia jest mięso, jako struktura biologiczna (medium bio). Trwamy więc w trudzie przeistaczania i nie możemy się od niego uwolnić. *Emblematy* i *Sarkofagi* (1993/1994) mówią o daremnym trudzie powstrzymywania tego procesu. Artysta wykorzystuje organy ludzkie (mózg, jelita, ucho), lokując je w metalowych monumentach, gdzie są chronione przed ostatecznym rozpadem za pomocą różnych zabiegów, jak konserwowanie, dotlenianie, opakowanie. Prace te można interpretować w kilku płaszczyznach – jako przywołanie najdawniejszej funkcji sztuki, której istotą było zawładnięcie czasem i wyjście poza biologiczny czas dany człowiekowi. W kontekście rzeźbiarskiej tradycji widzenia człowieka jest to zastąpienie jego figury fragmentami ludzkiego wnętrza i to tymi, które ulegają najszybciej rozkładowi. Kontekst estetyczny jest tu jednak najmniej istotny. Cieleśność interesuje Klamana

jako wartość uniwersalna, na płaszczyźnie dyskursu filozoficznego i etycznego. Nim sięgnął po ludzkie szczątki, wykorzystywał mięso zwierzęce. W pracy zatytułowanej *Koryto* (1988) mieszał rozkładające się mięso z książkami. W *Ogrodzie rozkoszy ziemskich* (1992) odcięte krowie głowy zestawił z instalacją gazową. Relacje zestawień dokonują się według przeciwieństw tego, co duchowe i co materialne; produkty intelektualne, trwałe z pozoru idee *versus* sfera przemijająca, biologiczna. W rzeczywistości jednak opozycja nie jest jednoznaczna. To, co miało być niezniszczalne, jest równie ułomne i ulega deformacji, rozchwianiu, jak owe monumenty zatapiające się w podłożu. Materiały, jakich używa Klaman, nie są z kategorii estetycznych. Co więcej, sięgając po organy ludzkie w charakterze tworzywa, przekracza granice powszechnie uznawanych norm, zwłaszcza w takim kraju jak Polska, gdzie istnieje szczególny szacunek dla śmierci i zmarłych, a dysponowanie organami ludzkimi, nawet w celach ratowania życia, napotyka barierę sprzeciwu. Użycie ich przez artystę jest traktowane jako profanacja, choć ich obecność w laboratorium medycznym nie budzi niczyich zastrzeżeń. Sztuka Klamana dotyka też granic artystycznego doświadczenia i wchodzi w obszary zawłaszczane dotąd przez naukę, medycynę, politykę.



Grzegorz Kłaman *Macierz* instalacja biomedialna preparat ludzkiej tkanki środki mieszane, 2017 | fot. z archiwum autora

Wieża gnozy była przełomowa nie tylko ze względu na pojawienie się nowej problematyki związanej z cielesnością, ale też ze względu na fakt wkraczania w nowe, już poza Wyspą Spichrzów, miejsca. Odmieniona sytuacja społeczno-polityczna w kraju, pojawienie się demokratycznych struktur państwa zmienia strategię działania artysty, który z miejsc marginalnych, opuszczonych wkracza w przestrzeń oficjalnych instytucji. W roku 1993 Ryszard Ziarkiewicz w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie prezentuje jego *Emblematy* i *Monumenty*. Artysta nie chce już funkcjonować w miejscach peryferyjnych, ograniczających obecność sztuki do specyficznego i niewielkiego tylko kręgu odbiorców. Chce być teraz ze swą sztuką w centrum życia publicznego. *Pneúma* (1996), pokazywana w Sali Białej Ratusza Głównego Miasta, była instalacją, której idea związana była z miejscem reprezentującym władzę. Dla Klamana ratusz to monument naznaczony symboliką władzy. Stalowe kolumny jego instalacji zakłócają zabytkową architekturę, ale i w jakiś sposób do niej nawiązują. Są bowiem cytatem stylistycznym, symbolizującym kulturowe dziedzictwo, zawłaszczane przez różne systemy totalitarne dla wspierania autorytetu władzy. Instalacja kontynuuje dwa istotne w twórczości Klamana wątki – zainteresowanie problematyką ciała i architekturą



Grzegorz Kłaman *Orzeł czarny II* guma techniczna, 2014 | fot. z archiwum autora

totalitarną, rozwijane w kontekście różnorodnych dyskursów o represji władzy, stymulującej zakres i formy programów nauki, kultury i sztuki.

Swoją „metafizykę mięsa” budował, opierając się na komentarzu czerpanym z książki Jolanty Brach-Czajny *Szczeliny istnienia*. *Pneúma* czerpie cytaty z książki Michela Foucaulta *Nadzorować i karać. Narodziny więzienia*.⁴ Ciało jest nośnikiem znaków, a zmieniający się do niego stosunek jest wyrazem zmieniających się ideologii. Instalacja ta zdaje się demistyfikować także samą sztukę służącą mitologizowaniu władzy. Klasyczne kolumny, tak charakterystyczne dla totalitarnych budowli, artysta zestawiał z nieregularną stalową konstrukcją z hakami, której podstawą był szklany pojemnik z ludzkim okiem. Na haku zawiesił odlew własnej głowy i draperię jako rekwizyty przebrzmiałego języka sztuki, jeden ze sposobów wizualizacji ciała.

Pneúma, jak i wcześniejsze prace, mówi o nieuchronności przemijania, bez względu na ideologiczne systemy racjonalizowania i z mumifikowania tego procesu, w którym bierze udział także sztuka. Monumenty, kolumny, bramy Klamana mają też szerszy wymiar interpretacyjny – dekonspirują

⁴ M. Foucault, *Nadzorować i karać*, Warszawa 1998.

dwuznaczną rolę sztuki, uwikłanej w różne ideologie totalitarne. W kontekście lektury książki Foucaulta, traktującej o metamorfozach metod represjonowania ciała w systemie sądowniczym, *Pneúma* wpisuje się w dyskurs o technologii sprawowania władzy, która przejmując kontrolę nad kulturowymi wzorcami.

Gwałtowny protest, jaki budzi fakt użycia ludzkich szczątków, zdaje się potwierdzać tezę o reglamentowaniu wiedzy przez ideologie. Ludzkie preparaty w laboratorium są normą, zgodnie z którą nauka włada niewygodnym dla powszechnej świadomości obszarem wiedzy o ciele. Klamana, wyprowadzając ludzkie szczątki z laboratorium, świadomie przekracza zarówno tradycje artystyczne, jak i przyjęte normy etyczne i obyczajowe. To także wizerunki ciała, tyle że zastrzeżone i zawłaszczane przez naukę. Jednak „nie ma wiedzy, która nie zakłada i nie tworzy relacji władzy” – ta i inne myśli Michela Foucaulta, jak: – „władza produkuje wiedzę” – są przesłaniem programu i strategii artystycznej Klamana. Reakcja polityków na niektóre tematy potwierdzać tylko może fakt reglamentacji wiedzy, zależnie od aktualnie panujących ideologii. Zaangażowanie najbardziej zagorzałych konserwatywnych polityków w zwalczanie twórczości Klamana, w reakcji na *Anatroph*y pokazywane na wystawie „Negocjatorzy sztuki” (1999) w Łaźni, nie było przypadkowe. Choć wizerunki płodu były tylko fotografiami, a nie autentycznymi, jak w poprzednich instalacjach, preparatami ludzkimi, to jednak wzbudziły dużo więcej emocji. Świadczy to tylko o tym, że *Anatroph*ami naruszył Klamana sferę ideologii rządzących prawicowych partii, odwołujących się do wartości chrześcijańskich. Prac Klamana nie sposób postrzegać poza ideologią władzy, która jest znaczącym odniesieniem kontekstualnym programu artystycznego. Ze swej natury dyskursywne prace podejmują najbardziej drażliwe społecznie tematy i ujawniają mechanizmy ich skrywania czy manipulowania nimi. Wydaje się, że strategia artysty jest skuteczna. Reakcja na jego działalność artystyczną jest rodzajem interakcji, którą należy wpisać w poetykę dyskursywności dzieła. Integralną częścią dzieła wydaje się także sam autorski komentarz i dyskusja, jaką za pośrednictwem mediów wiedzie. Niezaprzeczalnie można powiedzieć, że jako artysta istnieje w przestrzeni publicznej. Spełnił się więc jego strategiczny cel. Ukoronowaniem owego artystycznego spełnienia jest współrealizacja wystawy „Drogi do wolności” w historycznym miejscu wybuchu wydarzeń sierpniowych, miejscu, które dziś jest w szczególności sposób naznaczone polityką i ideologią.

Intrygujące jest zarówno to, iż propozycja realizacji tak ważnej politycznie wystawy została skierowana do „Łaźni”, jak i to, że przez niedawnych opozycjonistów została przyjęta. Klamana potraktował zlecenie jak wyzwanie. Nie zamierzał podporządkować się memorialnej tradycji, a raczej chciał zachować swój krytyczny do niej dystans. Projekt został zrealizowany w 2000 roku, w 20. rocznicę powstania Solidarności. W sensie formalnym był odważnym zaprze-

zieniem narodowo-patriotycznej tradycji pomnikowej, jakiej można by oczekiwać w miejscu upamiętnienia historycznego zdarzenia. Założenia przestrzenne dwóch bram, usytuowanych na terenie stoczni, nawiązują do idei jego wcześniejszych monumentów. *Brama I* ma kształt dziobu okrętu. Przechylone burty sprawiają wrażenie destabilności, jakby zapadania się formy. Korodująca powierzchnia stali, mimo monumentalności, nadaje formie wrażenie destruktu. Technologia nawiązuje do produkcji okrętowej jako symbolicznego kontekstu industrialnego Stoczni Gdańskiej i jej powiązania z upadłym systemem. We wnętrzu widz staje pomiędzy ciągiem napisów wyświetlanych po obu stronach burty. Są to hasła i slogany ideologii komunistycznej zestawione kontrastowo z sentencjami niezależnych myślicieli i opozycjonistów. Odbiorca staje wobec nich zdeorientowany. Dodatkowo przechylona burta powoduje, że doznaje wręcz fizycznego zawrotu głowy. W intencjach autora jest to przestrzeń indywidualnego doświadczenia historii, bez indoktrynacji i jednoznacznych odpowiedzi. Tak pomyślana przestrzeń wpisuje się w formułę dialogu społecznego. *Brama I* zdaje się mówić o rozpadzie wszelkich jednoczących totalitarnych ideologii. Podobne funkcje znaczeniowe ma *Brama II* połączona z *Bramą I* rodzajem rampy. Swą formą nawiązuje ona do nigdy niezrealizowanego projektu *Pomnika III Międzynarodówki* Władimira Tatlina. Dekonstrukcja tej interesującej wizji rosyjskiego awangardzisty jest chyba czymś więcej niż symbolem klęski komunistycznej ideologii. Jest też swoistym memento dla idei artystycznych uwikłanych w propagandę ideologiczną. Paradoksalnie jednak sztuka awangardy rosyjskiej przetrwała w dziedzictwie sztuki nowoczesnej. Jedno z wyświetlanych na burcie haseł dotyczy sztuki wprost: „polityczna neutralność sztuki jest zbyt często nadużywanym alibi”. Klamana wiedzie dyskurs na kilku poziomach, jednym z nich jest także sztuka. Opowiada się za sztuką zaangażowaną, ale zachowującą krytyczny dystans. A jednak artysta, w najlepszej wierze, sam uwikłał się w ideologiczny alians w władzę. Zmiana kontekstu politycznego unieważniła jego dzieło, w mojej ocenie jedno z najważniejszych. Decyzją dewelopera, monumenty Klamana zostały zepchnięte z historycznego szlaku „Drogi do wolności” na marginalne obrzeża terenu stoczni. Ich ostateczne miejsce nie jest jeszcze znane. Ważne przesłanie dzieła, jego idea związana z wielkim ruchem wolnościowym lat 80., po dwóch dekadach przegrywa, nie po raz pierwszy w historii, z partykularnym interesem i polityką.

Niewątpliwie wielowymiarowa działalność Grzegorza Klamana łączy jego aktywność z kolejnymi miejscami, gdzie powstaje sztuka. Jego autorytet pedagoga wzmacnia pozycja artysty i twórcy szeregu inicjatyw, jakie powstawały w ramach prowadzonej przez niego Fundacji „Wyspa Progress”. Wyspa staje się pojęciem łączącym różne obszary aktywności artystycznej, dla których zaistnienia kreowała wciąż nowe miejsca, na przekór niesprzyjających sytuacji.

Tymi miejscami była najpierw Wyspa Spichrzów, potem tereny dawnej Stoczni Gdańskiej, gdzie przez 10 lat funkcjonowała „Modelarnia” (do czasu jej wyburzenia) i powołany przez fundację Instytut Sztuki „Wyspa”. Zmiana miejsca wiązała się z przededefiniowaniem strategii i celów. Inspirował charakter opuszczonych miejsc, zdewastowanych, a jednocześnie naznaczonych historią, tą odległą, jaką były ruiny Wyspy Spichrzów i tą bliższą, jaką była Stocznia Gdańska. Wieloletnia działalność „Modelarni” koncentrowała się na aktualnych aspektach stoczni „posolidarnościowej”, rozparcelowanej pomiędzy nowych właścicieli, na prywatne interesy. Łącząc sferę projektów artystycznych z projektami badawczymi, „Modelarnia” inicjowała dyskusję na temat przyszłości. Artyści na nowo próbowali zdefiniować tereny postoczniove jako ważny społecznie i kulturowo obszar, respektujący idee Solidarności. Po zniweczonych planach przekształcenia Instytutu Sztuki w Muzeum Sztuki Nowoczesnej Klaman po raz kolejny przenosi działalność, tym razem poza miejskie uwarunkowania, w otwartą przestrzeń łuk Wyspy Sobieszewskiej. Miejsce „puste” i wolne od jakichkolwiek wcześniejszych kulturowych oznaczeń. Jedynie bezpośredni kontakt z otaczającą przyrodą staje się kontekstem dla ponownego przededefiniowania sztuki. *Bio-art* jest w zasadzie kontynuacją wątków „mięsności” i „cielesności” obecnych już we wcześniejszej twórczości Klamana. Wykorzystywanie w twórczości metod współczesnej biologii i biotechnologii, wykorzystywanie różnorodnych form życia jako materii artystycznej staje się teraz centrum zainteresowania Klamana i nowego projektu artystycznego, zapoczątkowanego na uczelni w prowadzonej przez niego Pracowni Działań Transdyscyplinarnych i rozszerzonego o plenery na Wyspie Sobieszewskiej. Ich problematyka lokuje się w tradycyjnej dychotomii Kultura i Natura, stawia jednak nowe pytania z perspektywy współczesnej ekologii. Cykliczne plenery „Natura +” są realizowane przy współpracy z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku. Każda edycja ma innego partnera: ASP Wrocław, UMCS Lublin, Politechnika Gdańska, UG – Wydział Biologii, także Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, z udziałem Fundacji „Wyspa Progress”. Formuła warsztatów plenerowych, powiązana z laboratoryjnymi doświadczeniami we współpracy z naukowcami, koncentruje się na lokalnym biotopie Sobieszewa. W szerszej jednak perspektywie dotyczy ogólnych refleksji na temat groźnych dla ekosystemu skutków niekontrolowanej działalności człowieka.

Aktywność Klamana w kreowaniu kolejnych miejsc i związanych z nimi projektów artystycznych, to także, a może przede wszystkim, budowanie świadomości artysty – nie pięknoducha, żyjącego w izolacji własnego świata sztuki, a obywatela zdolnego do tworzenia alternatywnych relacji wspólnotowych. Wychodzą one poza obszar sztuki,



Grzegorz Klaman *Symból* tabletki drewno plexi 2004 | fot. z archiwum autora

w poszukiwaniu perspektyw w programach badawczych nauki, nowych technologii, współczesnych teorii życia społecznego i kulturowego. U podłoża tak szerokiej perspektywy podejmowanych przez Klamana, w ramach Fundacji Wyspa projektów, jest poczucie niezgody. Stąd obecność wątku krytycznego i kontekstu politycznego. Różnorodne i wszechobecne aspekty władzy obecne były już we wcześniejszej twórczości Klamana. Ich uzasadnienia szukał w refleksji filozoficznej Michela Foucaulta. Wiele jego prac wpisuje się w dyskurs o technologii sprawowania władzy, która przejmuje kontrolę nad wzorcami kulturowymi. Rzeczywistość dostarczała mu realnych faktów. Walka o wolność słowa i artystycznej wypowiedzi nie była abstrakcją. Nieustannie zderzał się z konserwatyzmem, konformizmem, a czasem indywidualnymi ambicjami, które były przyczyną przegranej niektórych inicjatyw. Przegraną była utrata wpływów w Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia”, zniweczony projekt Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

To, co początkowo działało się poza oficjalnym obiegiem, dzięki powołaniu autonomicznej Katedry Intermediów w 2006 roku stworzyło warunki do rozwoju interdyscyplinarnych sojuszy w ramach edukacyjnego programu akademickiego. W ich tworzeniu rola Klamana jest nie do przecenienia, zwłaszcza, że wsparta autorytetem artysty i konsekwentnym rozwojem jego własnej twórczości. W praktyce artystycznej wiodła od *land artu*, przez *performances*, sztukę ciała i jego fragmentaryzację do elementów biologicznych i organicznych, do *bio artu*. Sztuka i nauka znajduje nowe relacje we współpracy z naukowcami. Zespołowość realizacji projektów zmienia perspektywę widzenia indywidualizmu artysty i procesu tworzenia. Projekt *Hell of Gnosis* jest programowym przykładem.

Zofia Watrak

Recenzję z wystawy *Hell of Gnosis* autorstwa Zofii Watrak redakcja publikowała w 3/23 numerze „Słowa”, jak również programowy tekst Grzegorza Klamana *Zmierzch antropocenu*.

Kazimierz Nowosielski

NIEPOMNI

Wessani
w pustkę po sumieniu
– w pustkę
pełną kolorowych fatałazzków
medialnych faktów
uwodzicielskich narracji
– tańczymy wokół cielca
doczesnych dóbr

niepomni że wszystko
pod spojrzeniem Prawdy

ZROBI SIĘ

Zrobi się – – ale
się nie zrobiło – Popadło
w bezwolność rozumu
i nijakość sumienia
utknęło
na skrzyżowaniach
nowych prędkości
na lotniskach
w komputerach
oraz w innych dóbrach
na tutaj
i teraz
– a będzie się zapierać
że zrobiło
swoje

WIELKA GRA

Wielki Brat
przejmuje władzę
nad jawą
i snem

Nocą i dniem
furkoczą
różnokolorowe chorągiewki

Gołąbki pokoju
przysiadają
na ramionach polityków
filozofów
kapitanów nowej wiary

W barze przy Drodze Mlecznej
podają fast foody
oraz z powietrza śmietanę

Na ekranach telewizorów
pokazują ufoludka
który w drodze na Ziemię
nabawił się kataru

W Wielkiej Grze
odtąd wszyscy wygrani

DO NATURY

Naturo tego świata – i ty
pozwól mi się wyżalić – –

Doświadczam przemijania
ale i wytrwanie
jakiś z tobą związane

Na parapecie okna
aloes coraz dorodniejszy
Wystarczają mu moje troski
światło ziemia w donicze
i podlewanie

Geranium coraz intensywniej
rozsiewa zapach w mieszkaniu

a moje słowa
z coraz większym trudem
podążają za duchem czasu

Na ulicach elektroniczne czujniki
prowadzą nieorientowanych
Chłopcy i dziewczęta
bez ceregieli śmigają po chodnikach
na swych elektrycznych hulajnogach

Niebawem przesiądą się
do międzyplanetarnych rakiet

Ku zdumieniu Parek
udają że wymyślili
nić silniejszą od losu

SŁOWO

Człowiek bez duszy
więc bezduszne czasy

W wolności bez granic
czyny i zamiary

i marne słowo
co chce je wyrazić

– kalekie biedne
opuszczone słowo

WE MGŁACH

Jak sobie poradzisz
ze swoją mgławicą marzeń –
Czy dla złudzeń sen tylko
– te nocne czary mary
dziwowisko natury – to samo
dla psa i kota
oraz dla wierzby starej

Lecz i tutaj czasami
jakiś zaczyn się wiersza pojawi
– jakbyś zapałkę zapalił
rozbłyśnie i zgaśnie – i nic
co dalej – –

Widocznie Bogu
prawda nazbyt cenna
aby ją tracić
na sny

CORAZ WIĘCEJ

Coraz więcej
z rzeczy tego świata
wydaje mi się
nie do udźwignięcia

pustyń nie do przebycia
słabości
nie do pokonania

– ale się staram

Cechy szczególne pewnej baśni dla dorosłych

Dariusz Filar

Granica między bajkami, które opowiada się dzieciom i baśniami, których sens w pełni może pojąć tylko człowiek dorosły, w gruncie rzeczy jest dosyć płynna. W obydwu przypadkach mamy do czynienia ze światem umownym, ze stworami raczej niespotykanymi na co dzień i działaniem nietatwych do pojęcia magicznych sił. Wszakże w fantastycznych przypowieściach przeznaczonych dla dorosłych zdarzają się sytuacje wykraczające poza granice dziecięcej wyobraźni i mające kojarzyć się z realnymi doświadczeniami, które dzieciom nie są dostępne.

Człowiek dorosły, który czyta przeznaczoną dla jego wieku baśń, doskonale wie, że nic z tego, co wypełnia odwracane kartki, nie mogło mieć i nie miało miejsca naprawdę. Jednocześnie w przygodach, przemyśleniach i emocjach bohaterów poznawanej historii raz za razem dostrzega odbicie tego, co – wprawdzie w nie aż tak malowniczej oprawie – przytrafiło się jemu samemu lub ludziom mu bliskim. Opowieść zamknięta w formie baśni służy zatem przekazaniu autorskiej wizji rzeczywistej kondycji człowieka, życiowych zakrętów i pułapek, jakich nie szczędzi mu los, jego tryumfów i porażek.

Poświęcę tutaj uwagę trzem baśniom dla dorosłych, z których jedna powstała stosunkowo niedawno, a dwie przed ponad trzydziestu laty. Ta najnowsza i jedna z tych dwóch dawniejszych doczekały się szerokiego uznania i przyniosły sławę autorom. Trzecia, a zarazem druga z dawniejszych, została dostrzeżona mniej niż zasługiwała, a później nieco o niej zapomniano. Dopiero dzisiaj powraca przed oczy czytelników w nowym wydaniu, a autorowi nie będzie już dane cieszyć się z jej ewentualnej poczytności. Ale może to także jest powód, by poświęcić więcej uwagi jej szczególnym cechom.

Zacznę jednak od baśni najnowszej.

Baśń pierwsza

Miejsce, w którym rozgrywają się wydarzenia stanowiące treść baśni, wskazane zostało wprost – to ta część dzisiejszej Anglii i Walii, która przed wiekami nosiła miano Brytanii. Czas akcji udaje się natomiast określić, gdy przeanalizujemy pojawiające się w tekście tropy. Czytamy na przykład, że „większość pozostawionych przez Rzymian dróg uległa już wówczas zniszczeniu i pozarastała, często bezpowrotnie”. Z historii wiemy, że po to, by stawić czoła ludom germańskim, wojska Rzymu wycofały się z Brytanii

do Galii na początku V wieku. Ile dziesięcioleci mógł później trwać rozpad rzymskiej drogi? W innym miejscu pojawia się rycerz, który walczył u boku króla Artura. Rycerz jest bardzo wiekowy, a o królu powiada się, że pogrzebano go w ziemi Avalonu w 562 roku. Połączenie dwóch informacji z wysokim prawdopodobieństwem wskazuje zatem na to, że mamy do czynienia z Brytanią u schyłku VI wieku. Kraina ta nie należy w owych czasach do miejsc spokojnych i bezpiecznych. Grasują w niej ogry, które sięją zniszczenie, ranią ludzi i porywają dzieci. Jeszcze groźniejsze są czarty, większe i brutalniejsze od ogrów. Ale i drobne, wodne diabliki, działając wspólnie w wielkiej liczbie, potrafią wciągnąć człowieka pod powierzchnię rzeki. Najbardziej tajemniczym i siejącym grozę straszidłem jest smoczyca, której oddech spowija całą krainę mgłą niepamięci. Ludzie nie pamiętają biegu swojego życia, a nierzadko i tego, co zdarzyło się im przed chwilą. Ale niepamięć dotyczy także Brytów jako ogół, bo zapomnieli swojej historii.

Przez taki niepokojący świat wyrusza w pieszą podróż małżeństwo wiekowych Brytów. Zamierzają dotrzeć do wioski ich syna, z którym dawno stracili kontakt, ale teraz oczekują na starość jego opieki. Po latach pożycia wciąż są dla siebie pełni czułości – on nie przestał nazywać jej księżniczką, a ona nieustannie sprawdza jego obecność obok siebie. Po drodze spotykają najróżniejszych ludzi – rycerza w zardzewiałej zbroi, który przemierza kraj, by spełnić powierzoną mu dawno temu misję i nieustraszonego saksońskiego wojownika, którego także obarczono ważnym i trzymanym w tajemnicy zadaniem, chłopca, którego ukąsił potwór poszczuty przez czarty, mnicha będącego lekarzem-cudotwórcą i zdradzieckich współbraci z jego klasztoru, opuszczone przez rodziców dzieci, które specjalnymi ziołami karmią kozły, co sprawia, że ich mięso staje się trucizną dla ogrów. Podczas tych spotkań doznają nagłych, krótkich rozbłyśków pamięci, które budzą w nich

wątpliwości i pytania o własną prawdziwą tożsamość. Jakim cudem prosty wieśniak, obserwując pojedynek na miecze, bezbłędnie potrafi ocenić technikę walczących? Dlaczego wierna mężowi stara wieśniaczka uświadamia sobie, że kiedyś go opuściła i w trudnej chwili zostawiła samego? Najważniejsze jest spotkanie z przewoźnikiem, który przeprawia ludzi przez rzekę, ale zanim to uczyni, zadaje im podchwytliwe pytania. Jeśli ludzie przychodzą do niego jako para, na podstawie uzyskanych odpowiedzi rozstrzyga, czy łączy ich prawdziwa miłość i tylko w takim przypadku zabiera ich do łodzi razem.

Podczas całej lektury czytelnik pozostaje w klimacie fantazji, ale jej bieg skłania go do zastanowienia nad wieloma całkiem rzeczywistymi kwestiami: czy bywają takie wydarzenia, o których lepiej nie pamiętać? Jak daleko sięgają obowiązki człowieka wobec innych ludzi? Kiedy dane słowo wymaga bezwarunkowego dotrzymania? A wreszcie – co okazuje się ważne w momentach ostatecznych życiowych podsumowań i rozliczeń?

Baśń druga

I w tej baśni miejsce akcji – a przynajmniej punkt, w którym się ona rozpoczyna – jest określone wprost i wyraźnie – to oberża „Pod Cesarzem” na przedmieściu Saint-Antoine pod Paryżem. Tym razem także czasu akcji nie trzeba wyłaniać z domysłów i przymiarek – jest wrzesień 1685 roku. Francją od ponad czterdziestu lat rządzi Ludwik XIV Wielki, zwany też Królem Słońce, a wszystkie jego poczynania mają umacniać potęgę państwa i władzę absolutną. Jednocześnie dobiega kresu niepełne stulecie francuskiej tolerancji religijnej, którą zapewniał edykt nantejski wydany przez króla Henryka IV w 1598 roku; teraz edykt zostaje odwołany i półmilionowa rzesza hugenotów musi uchodzić do Niderlandów. W takim politycznym otoczeniu działa sekretne bractwo ludzi Księgi. W tej Księdze sam Bóg zapisał „swą doskonałość, swój początek i swoją nieskończoność” i dał ją Adamowi, by ten „nie zapomniał o słowie i sile”. Księga, jak często zdarza się tego typu dokumentom, przechodziła później z rąk do rąk, przepadała gdzieś i była odnajdywana, ukrywano ją i wykradano, by wreszcie w XIV wieku trafić do schowka w górskim wąwozie Pirenejów, na francusko-hiszpańskim pograniczu. Bractwo weszło w posiadanie mapy prowadzącej do schowka i zapada decyzja, by wyruszyć w podróż i Księgę odnaleźć.

Ostatecznie z oberży „Pod Cesarzem”, którą wybrano jako punkt rozpoczęcia podróży, wyrusza tylko dwóch członków Bractwa – Markiz i Bankier. Za sprawą splotu przypadków towarzyszą im piękna Kurtyzana i nastoletni Niemowa, który potrafi powozić, znakomicie opiekuje się końmi, instynktownie poznał moc ziół i darzony jest bezgranicznym uczuciem przez swego żółtego psa. Na pewnym odcinku drogi dołączy do tego grona gadatliwie filozofujący Anglik, a w połowie podróży w swoim wspaniałym *chateau* podejmie wędrow-

ców stary Arystokrata, który związany jest z Bractwem i posiada najgłębszą wiedzę o mapie prowadzącej do Księgi. Pobyt w *chateau* staje się czasem obcowania ze sztuką – bohaterowie podziwiają obraz przedstawiający Św. Jerzego i smoka, który namalował Paolo Uccello (obraz naprawdę istnieje i wisi dzisiaj w National Gallery w Londynie), w pasjonującym wykładzie zostają obznajmieni ze zmaganiem tego malarza z problemem perspektywy, słuchają granych na klawesynie utworów Couperina i czytają na głos *Elegie* Johna Donne’a. Markiz oddaje się również medytacji.

Po wizycie w *chateau* nadchodzi czas rozstań – Arystokrata czuje się zbyt stary i słaby, by podróżować, więc zostaje w domu, Bankier zawraca do Paryża, a Anglik skręca w swoją stronę. Dalej będą wędrować już tylko Markiz, Kurtyzana i Niemowa ze swoim psem. Tej trójce dane jeszcze będzie odwiedzić u stóp Pirenejów, już na samej granicy Francji i Hiszpanii, zdziwaczatego Alchemika czy też Maga, który stworzył i hodował homunkulusa, istotę ludzką powstałą „poza ciałem kobiecym, bez naturalnej matki”. Właściciel nieco upiornego laboratorium, w tajemniczy sposób domyślając się celu podróży gości i doceniając jej znaczenie, nie waha się ujawnić sekretów swoich eksperymentów, bo zdaje sobie sprawę, iż wiedza, jaką oni wkrótce posiadają, będzie znacznie potężniejsza niż jego, tak potężna, że zdolna zmienić losy ludzkości.

Pozostała już tylko ryzykowna wspinaczka po stromych i śliskich skałach, a podczas niej spotkanie z kociećmi o trzech oczach i powiewy błoniastych skrzydeł smoków (choć można było łudzić się nadzieją, że to skrzydła aniołów). U stóp gór panowała zaraza i Kurtyzana pierwsza zdradza objawy choroby. Markiz jest tego świadom, ale nie wypuszcza jej z ramion. Oboje umierają na szczycie, tuż przed celem podróży. Nie ujrzeli Księgi, ale poznali u kresu swoich dni – ona po wszystkich blaskach i nędzach życia kurtyzany, on po latach w nieudanym małżeństwie i po tyleż licznych, co banalnych erotycznych przygodach – prawdziwą miłość. Do doliny, w której trwa wieczne współistnienie wiosny i lata (poziomki, jabłonie i drzewa pomarańczy kwitną i owocują jednocześnie), udaje się zejść tylko Niemowie. W ruinach kościoła bez ołtarza odnajduje Księgę, ale nie potrafi odczytać jej stron i postanawia pozostawić ją tam, gdzie była. Gdy jednak rusza w drogę powrotną, umie już mówić. „– Gauche – powiedział w ogrodzie Gauche do swojego psa – Jestem Gauche”.

Baśń trzecia

W tym przypadku baśń główna i najważniejsza opowiedziana została łącznie z baśniami o mniejszym znaczeniu, a także legendami czyli opowieściami, w których tkwią ziarenka historycznych faktów. Te pomniejsze baśnie i legendy, z których niejedna miejscem akcji obejmuje Gdańsk, a swoim czasem sięga po ostatnią ćwierć XX wieku, stanowią swoistą obudowę lub oprawę tego, co zasługuje na

uwagę w pierwszym rzędzie. A jest to przyładek Rozewie za czasów Świętopetka II. Ten pomorski książę był od 1220 roku wielkorządcą Pomorza Gdańskiego, a Kronika Oliwska opowiada o nim jako o „mężu walecznym, co zwycięskim ramieniem uwolnił się spod jarzma książąt Polski” (dzisiaj przypomina o nim pomnik w centrum Gdańska). Z rąk tego władcy mieszkańcy położonej na przyładku Rozewie wioski mieli odebrać unikatowy przywilej, który dawał im prawo zatrzymania na własność i bez żadnego podatku wszystkiego, co morze wyrzuci na brzeg bądź też co sami z dna morskiego potrafią wydobyć. Ceną przywileju był wszakże bardzo poważny i wymagający odwagi obowiązek. Do wieśniaków należało ratowanie rozbitków ze statków, które w pobliżu przyładka podczas sztormów wejdą na mieliznę – w odległości pół mili od brzegu i jednej mili wzdłuż niego. Obdarzeni przywilejem i obciążeni obowiązkiem szparki zabrali się do dzieła. Zbudowali todzie, których nie potrafiła wyrzucić nawet największa fala, wyszkolili się w wioślarsztwie, a nawet nauczyli nurkować w głębinach wkładając skafandry uszyte ze skór, obciążone łożem i połączone systemem rurek z powierzchnią wody. Zgromadzili też zapasy suchej odzieży i strawy, które w każdej chwili mogły być udostępnione nawet znacznej liczbie rozbitków. Wiodło im się odtąd całkiem dobrze.

Kolejną wielką zmianę w życiu wioski przyniósł XIV wiek, a stało się to za sprawą splotu zdarzeń, które rozegrały się z dala od niej i na pozór nie powinny mieć żadnego związku ze sztormami, rozbitkami i dobytkiem wyłowionym z wraków. W 1351 roku Henry, Duke of Lancaster & Earl of Derby, w głębokim poczuciu rycerskiego obowiązku, postanowił dołączyć do Krzyżaków, by na wiarę chrześcijańską nawracać pogan wciąż żyjących w Prusach. Wyruszył ze swym orszakiem w drogę, ale gdy zdołał dotrzeć do Szczecina, okazało się, że podpisane z Prusami układy zahamowały krucjatę i dalsza podróż straciła sens. Henry zatrzymał się więc na pewien czas w Szczecinie, a konsekwencją tego stało się obdarzenie przezeń uczuciem niezwykle urodziwej i słynącej z biegłości w ars amandi pomorskiej nierządniczy o imieniu Barbara. Ponieważ z racji uprawianej profesji groził jej proces, Henry, powracając do Anglii, zabral ją ze sobą. Tam Barbara została stateczną małżonką wybitnego rzeźbiarza z Chichesteru, a Henry zamówił u niego alabastrowy posąg Matki Boskiej (w końcu patronką misyjnych poczynań Krzyżaków była Najświętsza Paniienka). Mistrz dłuta, nie wiedząc albo i wiedząc o tym, co łączyło z Henrym jego żonę, właśnie ją wybrał na modelkę przy pracy nad dziełem. I powstała rzeźba zupełnie niepodobna do innych religijnych rzeźb. Wyglądała na obrócone w kamień ciało młodej, pięknej kobiety o uśmiechniętej twarzy otoczonej bujnymi lokami. Z całą pewnością nie był to wizerunek Matki Boskiej znany z kościołów. Jeszcze jedna rzecz w posągu, który zaczęto nazywać Piękną Madonną, była zaskakująca – gest prawej ręki równie dobrze mógł oznaczać akt błogosławienia jak znak pożegnania. Henry na resztę życia

umieścił posąg w swojej sypialni, a gdy konał, wyciągnął dłoń w stronę alabastrowej Madonny w identycznym jak jej geście. Od tego momentu bieg zdarzeń przedstawiony przez Jerzego Limona znacznie wyraźniej skręca w stronę przyładka Rozewie i mieszkańców położonej tam wioski. W 1390 roku Henry Bolingbroke, wnuk tegoż Henry’ego, który zamówił posąg, a późniejszy angielski król Henryk IV (nie należy go mylić z Henrykiem IV Bourbonem, który jako autor edyktu nantejskiego przemknął w przypisie do poprzedniej baśni) wyrusza morzem do Gdańska, a stamtąd zamierza udać się do Malborka. Zabiera ze sobą ukochany dziadkowy posąg, bo pragnie ofiarować go Wielkiemu Mistrzowi Krzyżaków. Jednak na wysokości Rozewia jego okręt idzie na dno i tylko sprawna akcja miejscowych wieśniaków ratuje mu życie (rzecz jasna gdyby nie to, dziewięć lat później, w 1399 roku, nie mógłby włożyć na głowę angielskiej korony). Posąg Matki Boskiej był z alabastru i powinien utonąć jak przystowiowy kamień, a przecież w niepojęty sposób wypływa z odmętów na plażę. Jedynie jego prawa, błogosławiąca dłoń odpadła i nawet najlepsi miejscowi nurkowie nie zdołali jej odnaleźć. Z wdzięczności za ocalenie życia Henry Bolingbroke zostawia uszkodzony posąg wieśniakom, a ci zanoszą go do miejscowego kościoła i zaczynają mu oddawać bezgraniczną cześć. Siebie samych uznają odtąd za Wybrany Lud Matki Boskiej. I alabastrowa Madonna, chociaż niezdolna do zrobienia błogosławiącego gestu, wyraźnie im sprzyja i przynosi szczęście. Morze wyrzuca na brzeg niezwykle ilości skarbów: naczynia z miedzi i porcelany, meble i zegary, malowane na płótnie obrazy, uprząże końskie i bogato zdobioną broń, beczki wina i pojemniki z indyjskimi korzeniami. Płyną także ku brzegowi kufrы wypełnione najróżniejszą odzieżą, a to sprawia, że wieśniacy zaczynają się dosyć niezwykle ubierać: jeden chodzi w kaftanie włoskim, drugi w spodniach tureckich, a trzeci w angielskich pończochach i butach holenderskich, zaś głowę nakrywa francuskim kapeluszem. To, co wyrzuci morze, jest w gruncie rzeczy jedynym źródłem wiedzy wieśniaków o szerokim świecie. Te okruciny układają się w ich głowach niczym ogromne puzzle wyobrażające świat. Niektóre kawałki są jednak dla nich kompletnie niezrozumiałe i nigdzie nie pasują, a tu i ówdzie niepokoi ich brak innych, mogłoby się wydawać całkowicie ewidentnych, elementów.

Obfitość dóbr wyrzucanych przez morze nie zmniejsza gotowości wieśniaków do ratowania rozbitków. Nadal z poświęceniem rzucają się w szalejące fale i nie pozwalają tonąć tym, którzy padli ich ofiarą. Wydobytch na brzeg ubierają w suchą odzież, karmią gorącą strawą, a niektóre z młodych kobiet skłonne są zaopiekować się nimi nawet bardziej i to sprawia, że we wsi sporo jest dzieci będących mulatami czy mających skośne, azjatyckie oczy. Wszyscy traktują to jako rzecz naturalną i nikogo to nie oburza. Obcowanie z rozbitkami sprzyja także przyswojeniu sobie ich języków – od angielskiego po hiszpański i włoski, a także łacinę. Wiejska gospodyni, która płynnie przerzuca się

w rozmowie z jednego języka w drugi, dziwi jej zagranicznych interlokutorów, ale nie miejscowych.

Nadbałtycka idylla dobiega końca, gdy pewnego dnia morze podcina klif przylądka Rozewie i pochłania kościół wraz z posągami Matki Boskiej. Odtąd wieśniakom przestaje się wieść, popadają w nędzę, a nierzadko doświadczają głodu. Raz za razem padają ofiarą obcych, okrutnych najeźdźców. Stopniowo rwą się także więzy, które łączyły ludzi. Na duchu podtrzymuje ich jedynie wiara, że Piękna Madonna powróci. Jak kiedyś znowu wyłoni się z morza i teraz pozostanie na zawsze, a wtedy też na nowo szczęśliwe i godne stanie się życie jej Wybranego Ludu. Tak w baśniowej ramie – i z lekkim przymrużeniem oka, ale także ze zrozumieniem i dużą dawką serdeczności – została ukazana etniczna odrębność nadbałtyckiej społeczności, a także objaśniona jej kultura, której niezwykle istotny składnik stanowi żarliwa religijność.

Baśniowe przesłania

Pożeracze książek, a wśród nich także baśni, z pewnością zidentyfikowali utwory, które spróbowałem tutaj na miarę moich możliwości streścić. Mniej odczytanych informuję, że pierwszy z nich to *Pogrzebany olbrzym* napisany przez Kazuo Ishiguro i wydany w marcu 2015 roku. Była to siódma książka autora, a zarazem ta, która bezpośrednio poprzedziła przyznanie mu nagrody Nobla w 2017 roku.

Druga baśń nosi tytuł *Podróż ludzi Księgi* i wyszła spod pióra Olgi Tokarczuk. Data umieszczona pod tekstem przez autorkę wskazuje jako moment jego ukończenia 1989 rok, a jako jej powieściowy debiut ukazał się on w 1993 roku. Čwierć wieku później, w 2018 roku, po napisaniu przez Olę Tokarczuk siedmiu kolejnych ważnych książek, a w rok po uhonorowaniu Ishiguro, także polska pisarka otrzymała nagrodę Nobla.

Trzecią baśń napisał Jerzy Limon i nadał jej tytuł *Kaszuńska Madonna*. Autor umieścił pod tekstem jako datę ukończenia pracy nad książką sierpień 1986 roku, a opublikowała ją Oficyna Wydawnicza Graf w 1991 roku.¹ Drugie wydanie przygotowały wspólnie w 2024 roku wydawnictwo słowo/obraz terytoria i Fundacja Terytoria Książki. Jerzy Limon, zarażony koronawirusem podczas pandemii, zmarł 3 marca 2021 roku.

Zestawiłem baśnie dwójki noblistów z napisaną przez Jerzego Limona, by na znakomitym tle wyeksponować specyficzny rys tej ostatniej. To, co napisali Ishiguro i Tokarczuk, ma charakter przypowieści uniwersalnych. Ishiguro skupił uwagę na potędze pamięci, jej wpływie na czas bieżący i pułapkach, jakie potrafi zastawiać, a nawet na płatanych przez nią figlach. Tokarczuk obróciła za temat magię słowa, potrzebę wypowiedzenia, odczytywania i zapisywania słów, a w szerszym ujęciu – pragnienie tworzenia, które dane jest

ludziom powszechnie, chociaż w niejednakowym stopniu. Zarówno potęga pamięci, jak i magia słowa ukazane zostały poprzez losy pojedynczych ludzi, spotykających się na ścieżkach życia, ale pozostających oddzielnymi, niezależnymi bytami. Na miejsca akcji wybrane zostały Brytania w VI wieku i pogranicze francusko-hispańskie w XVII wieku, ale można sobie przecież wyobrazić wiele punktów na mapach i okresów dziejowych, w których byłoby możliwe przedstawienie podobnych wydarzeń.

Natomiast Limon bohaterem swojej baśni uczynił nie jednostkę lub jednostki, ale zintegrowaną zbiorowość mieszkańców wioski z przylądka Rozewie. Zarazem nienaruszalnie osadził fundamenty baśni w jej kaszubskiej lokalności, przedstawione w niej wydarzenia włożył w niepoddającą się przesunięciom geograficzną i historyczną ramę. Nie jest ona czysto scenograficznym tłem, ale należy do samej istoty przekazu. Z takiego podejścia bierze się siła przekonywania tej baśni. Rzecz jasna nigdy nie tonęły masowo kogi i karawele na wysokości przylądka Rozewie, nie istniał alabastrowy posąg Pięknej Madonny, nie występuje wśród Kaszubów nadzwyczajna liczba poliglotów, a kaszubski odświętny strój nie jest zlepkiem przypadkowych fragmentów pochodzących z innych kultur. A przecież czytając utwór Limona dajemy się przekonać o wyjątkowości ludzi „od zawsze” zamieszkujących Pomorze, o wyraźnej odrębności tej społeczności i sile spajających ją wewnętrznych więzów, trwałości niektórych obyczajów i przywiązaniu do religii katolickiej umacnianym szczególnie czcią dla Matki Boskiej. Uświadamiamy też sobie bezmiar krzywd, jakie spotkały Kaszubów w ostatnich dwóch stuleciach, a więc w czasach, gdy – zgodnie z baśniowym przekazem – nie mieli już wsparcia swojej orędowniczki, chociaż nie przestali o nie zabiegać w modlitwach.

Wydana przed ponad trzydziestu laty i dzisiaj wznowiona baśń Jerzego Limona przywołuje echa baśni o wiele starszych, a też zrodzonych na Kaszubach i mówiących o tym, co zniknęło, gdzieś jest ukryte, ale może kiedyś da się odnaleźć czy odzyskać. Jest w nich odmalowane piaskowe wzgórce, które w swojej głębi kryje zapadły zamek. Jest piękna księżniczka Damroka, która pragnąc uniknąć poślubienia wrogiego rycerza, umknęła na skrzydłach stada łabędzi. To w bardziej optymistycznej wersji baśni. W wersji mniej optymistycznej przykuła się do drzwi kościoła i wraz z nim pogrążyła w jeziorze, a do dzisiaj pod powierzchnią wody można czasami dostrzec błyski jego złotych dzwonów. W jeszcze innej wersji można usłyszeć ich dźwięk. Chadzają po Kaszubach stolemy czyli olbrzymi zdolni przenosić w nowe miejsce całe połacie lasu, ale czasami przybierający postać ludzi tylko z pozoru zwykłych, bo obdarzonych niezwykle cechami charakteru. Te baśniowe wątki już w latach sześćdziesiątych XIX wieku pojawiały się na łamach czasopisma *Skôrb Kaszêbsko-słowjnskję mòvê* wydawanego przez Floriana Ceynowę, który mowie kaszubskiej nadał status języka literackiego. U Limona kaszuńska baśniowość

¹ Fragmenty powieści Jerzego Limona zamieścił gdański „Autograf” w 1988 roku

znajduje kontynuację. Ludową wyobraźnię zastąpiła intelektualna, literacka gra, co zgodne jest z duchem współczesności, ale nie odcina sięgających w przeszłość korzeni. Wybitny znawca problematyki kaszubskiej, profesor Cezary Obracht-Prondzyński, pisze o Kaszubach tak:

Przynależą do grupy zachodniostowiańskiej, są autochtoniczną ludnością pomorską, mają własny język oraz świadomość wspólnoty pochodzenia i wspólnych doświadczeń historycznych oraz bazując na poczuciu odrębności, budowanej w oparciu o cechy kulturowe, definiują się najczęściej jako wspólnota/grupa etniczna, która w znaczącej większości uważa siebie nie tylko za Kaszubów, ale też za Polaków (co nie wyklucza, iż są w niej i tacy, którzy taką identyfikację odrzucają, przyjmując inne modele tożsamości). Kluczowym zaś przekonaniem dla Kaszubów pozostaje to, że Kaszubi nadal SA – zgodnie z wezwaniem z hymnu kaszubskiego: *Nigdë do zgùbë nie przindq Kaszubë*.

Jeśli Kaszubi nadal SA, to najzupełniej naturalne staje się pytanie: ilu ich jest? Prowadzone w latach osiemdziesiątych XX wieku badania socjologiczne pozwalały na szacunki

w granicach od 330 do 560 tys. osób. Trzydzieści lat później spis powszechny pozwolił na identyfikację narodowo-etniczną 232 tys. osób oraz wewnątrz tej grupy 108 tys. osób, dla których język kaszubski stanowił język domowy (najwięcej spośród nich mieszkało w powiecie kartuskim). Bez wątpienia trzeba do tego doliczyć całkiem licznych „Kaszubów z wyboru”, ludzi zakorzenionych rodzinnie w innych obszarach kraju, ale utożsamiających się ze rdzennymi mieszkańcami Kaszub. Zamordowany w styczniu 2019 roku prezydent Gdańska Paweł Adamowicz, którego rodzina wywodzi się z Wileńszczyzny, powiadał o sobie, że jest naturalizowanym Kaszubą. Pisarz Lech Bądkowski urodził się w Toruniu, a przecież zdecydowaną większość swojej twórczości i działalności politycznej związał z Kaszubami. Urodzona w Wilnie pisarka Róża Ostrowska została współautorką *Bedekera kaszubskiego*. Ryszard Stryjec, urodzony w Lipniskach koło Lidy, wielokrotnie umieszczał w swoich grafikach kaszubskie gryfy. Właśnie do kręgu takich ludzi należy zaliczać autora *Kaszubskiej Madonny*.

Dariusz Filar



Grzegorz Kłaman *Tektonika* instalacja Hala Stulecia Wrocław 2009 | fot. z archiwum autora

Obrazki z nie/obecności

Jacek Lidwin

Ten projekt to twórcza, fotograficzna dokumentacja i interpretacja śladów istnienia kultury żydowskiej w Sopocie. W jego ramach sfotografowałem pozostałości, blizny, budynki, miejsca gdzie niegdyś mieszkali, pracowali i modlili się sopoccy Żydzi, puste place. Cały materiał zawiera zdjęcia z około 200 adresów na 47 ulicach oraz z cmentarza żydowskiego i miejsca gdzie znajdowała się synagoga. W tej publikacji prezentuję wybrane fotografie i teksty.

Moją fotograficzną pracę z historią społeczności żydowskiej zacząłem od cmentarzy żydowskich. Od cmentarzy w Będzinie i Czeladzi. Interesowały mnie przez wiele lat, ale zacząłem je fotografować dopiero kiedy czytałem powieść Marcela Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*. Może bardziej utraconego niż straconego, bo czas stracony te często w języku polskim czas zmarnowany, a nie wydaje mi się by o takie pojęcie chodziło Proustowi. Czas utracony, przeszły, czyli wydawałoby się już nie w naszym władaniu. Ale on wciąż jest nam dostępny, nie tylko ten nasz utracony, ale i innych. Jest dostępny w naszych wspomnieniach ale i w wyobrażeniach przeszłości tych innych ludzi, ich życia, pracy, dokonań, prywatności. Możemy w ten sposób ich spotkać, choć przecież ich nie znaliśmy. Dla Prousta ten obraz, te obrazy są bardziej prawdziwe niż materia świata. Dla mnie fotografia może być „magdalenką” prowadzącą nas do tego.

Ci dawni Sopocianie już nie żyją, ale na patrząc na miejsca gdzie bytowali, działali, handlowali, modlili się, na obrazy tych miejsc, budynków, pustych placów gdzie niegdyś stały, możemy ich sobie wyobrazić, spotkać, poznać. Gdzieś rzeźnik wczesnym rankiem otwiera swój sklep, dozorca synagogi zamiata chodnik przed nią, kuchnia w hotelu przygotowuje śniadania. Ludzie przychodzą na świat, Kochają, zaznają szczęścia i cierpienia, umierają. Spróbujmy ich sobie wyobrazić patrząc na zdjęcia. Poznajmy ich, choć nigdy nie spotkaliśmy.

Jacek Lidwin

Przygotowując się do zdjęć i opracowując je przed publikacją korzystałem przede wszystkim z następujących publikacji drukowanych:

- *Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska* – Muzeum Sopotu 2018-2019
- *Zapomniani byli w mieście* – Hanna Domańska 2001
- *Żydzi nad Gdańską Zatoką* – Hanna Domańska 1997
- *Tajemniczy Sopot* – Hanna Domańska 2008
- *Opowieści sopockich kamienic* – Hanna Domańska 2005
- *Kamienne drzewo płaczu* – Hanna Domańska 1991
- *Bowiem jak śmierć potężna jest pamięć* – Mieczysław Abramowicz 2013

oraz internetowych:

Projekt Dawny Sopot – <http://www.dawnysopot.pl>
Wirtualny Sztetl – <https://sztetl.org.pl>

*

Dziękuję panu Maciejowi Szemelowskiemu za gościnę podczas realizacji zdjęć w jego domu „U Rybaka”. Dziękuję również za pomoc podczas realizacji projektu panu Wojciechowi Fułkowi, pani Katarzynie Żero i pani Małgorzacie Tarasiewicz.

J.L.



ul. Jarosława Dąbrowskiego 1 (Roonstraße 1) –

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: „W 1928 roku od strony północnej dobudowana została do Domu Bożego rytualna łaźnia – mykwa, która na górnym piętrze miała mieszkanie przeznaczone dla obsługi i wartownika. Przebywała tutaj nieżydowska rodzina Franciszka i Agnieszki Wandtke. W 1936 urodził się ich syn Bruno, który teraz jest znanym sopockim architektem. Agnieszka sprzątała synagogę i usługiwała kobietom w mykwie, zaś Franciszek, z zawodu dróżnik kolejowy, pełnił rolę wartownika”. Budynek mykwy istnieje do dzisiaj, częściowo pełni funkcje mieszkalne. Można w nim znaleźć pozostałości oryginalnego wyposażenia.

ul. Jarosława Dąbrowskiego 1 (Roonstraße 1) –

Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska
– Muzeum Sopotu 2018-2019: Nieistniejąca synagoga gminy reformowanej (zbudowana w latach 1913-1914), spalona po Nocy Kryształowej (12/13 listopada 1938 roku) i zburzona wiosną 1939 roku; obok w latach 1928-1929 dobudowano rytualną mykwę (łaźnię), obecnie stoi tu blok mieszkalny z tablicą upamiętniającą synagogę (fundator: Mira Ryczke-Kimmelman).



ul. Jacka Malczewskiego 20 (Große Katzerstraße) –

Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: cmentarz żydowski, założony w 1913 roku, czynny do 1939 roku, zachowanych około 100 matzew.



ul. Bohaterów Monte Cassino (Seestraße)

Cukiernia Taudiena – znajdowała się przed 1945 obok hotelu Metropol. Było to miejsce spotkań sopockich Żydów do 1936. Taudienowie sprzedali kamienicę z cukiernią w 1937 a podczas II wojny światowej cukiernia została zlikwidowana. Mieszkanie Moszka Burnsteina – komiwojażera i jego żony Chawy – modystki.

Zabudowa ul. Bohaterów Monte Cassino (Seestraße) w miejscu gdzie obecnie istnieje plac Przyjaciół Sopotu została zniszczona w 1945 r. podczas walk o miasto lub po jego zdobyciu przez wojska sowieckie.

ul. Bohaterów Monte Cassino 5 (Seestraße)

Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: dom handlowy Hohenzollern, założony przez Maxa Hermanna, inicjatora powstania sopockiej gminy synagogałnej, sprzedawano tam tekstylia, odzież, galanterię, rękodzieło i tytoń (kamienica istnieje do dziś).

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: kamienica Moritza (Maksa) Herrmanna (zm. 1910) i mieszkanie jego zięcia Samuela Simona (od 1919 do 1931 przewodniczącego sopockiej gminy żydowskiej), Dom Towarowy Hohenzollern od 1900 do połowy lat dwudziestych, od 1919 do lat dwudziestych kino w przyziemiu, biura zarządu gminy synagogałnej w latach 1919-1931, po śmierci Moritza Hermanna kamienica była własnością jego żony Hedwig (zm. 1929), od 1929 do 1937 właścicielem kamienicy był Samuel Simon.



ul. Bohaterów Monte Cassino 37 (Seestraße 21)

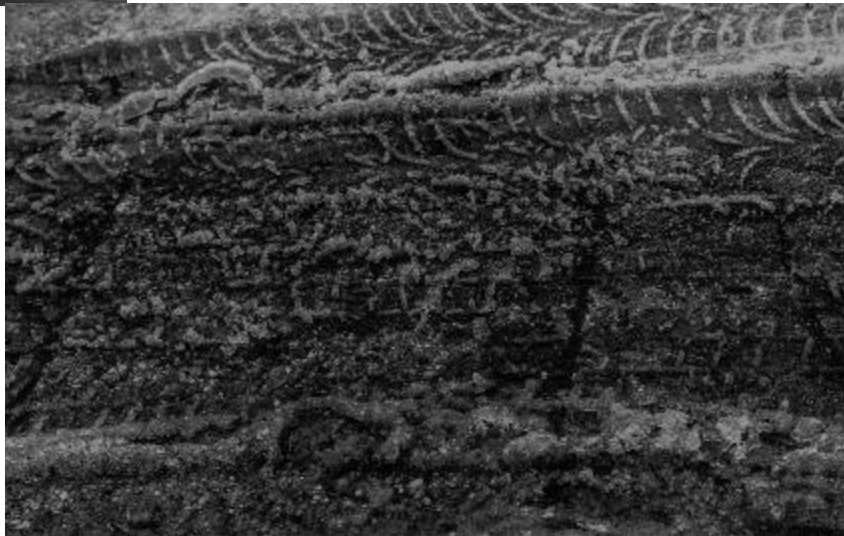
Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: apteka Pod Ortem Eugena Königsfelda
Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: Kamienica Eugena Koenigsfelda (zm. 1925) z jego „Apteką pod Orłem” i mieszkaniem. Żona Martha z domu Bry. Mieszkańcy w 1912: Helena Makat – bona do dzieci, Emil Haunit – emerytowany urzędnik celny, Ferydnand Shultz – fryzjer, dr Fritz Minssen – lekarz.

Apteka istnieje w tym miejscu do dzisiaj.

ul. Fryderyka Chopina 8/10

Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: nieistniejący budynek hotelu Victoriagarten (właściciele: Jankiel i Josef Beerowie), miejsce spotkań żydowskich organizacji kulturalnych; w 1928 roku Dom Polski, po 1945 roku pierwsza siedziba Filharmonii Bałtyckiej.

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: hotel Viktoria (Victoriagarten), zbudowany w 1880). Od 1922 do 1928 własność Jankiela i Jozefa Beer. 1929-39 wł. Gminy Polskiej. Od 1939 tymczasowy obóz dla Żydów przesiedlanych do Generalnego Gubernatorstwa. Po wojnie dom mieszkalny i sala koncertowa Filharmonii Bałtyckiej. Rozebrany w latach 1963-1970. Obecnie parking.





ul. Bohaterów Monte Cassino 7 (Seestraße)

Pamięć / Zikorn. Sopotcka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: kasa banku Norddeutsche Kreditanstalt i sklep kolonialny (właściciele: Moses Kurczmann i Rachmiel Metschansky), sklep z porcelaną firmy Rosenthal (pierwszy adres).

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: do końca I W.Ś. kasa depozytowa gdańskiego oddziału królewskiego banku, którego dyrektorem był Hermann Furst, po 1933 sklep z owocami i warzywami Bruchy Ehrlich, do 1931 sklep kolonialny Mosesa Kurczmanna (zm. 1924) i Rachmiela Metschansky.

ul. Jana Jerzego Haffnera 8

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: do 1933 pensjonat Hindy Egides, później mieszkania.



ul. Jana Winieckiego 14 (Benzlerstraße)

Pamięć / Zikorn. Sopotcka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: sanatorium dla żydowskich dzieci, utworzone w 1912 roku przez członków loży Borussia.

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: od 1912 dom wypoczynkowy dla dzieci oraz ochronka prowadzone przez lożę Borussia Bnei-Brith (dawniej pensjonat). Podczas I W.Ś. znajdował się tam niemiecki lazaret, pracowali w nim żydowscy lekarze Maks Lindemann i Kurt Jakubowski oraz dentysta Leopold Landecker. 1919-1936 znowu dom wypoczynkowy i ochronka, prowadziły go panny Maria i Johanna Gross. Potem dom mieszkalny.



ul. Kazimierza Pułaskiego 18 (Bismarckstraße) –

Pamięć / Zikorn. Sopotka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: hotel Bristol z kosztowną restauracją Mosesa Paskalskiego, obecna willa Sedan.

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: Hotel Sedan zbudowany w latach 70-tych XIX w., od 1922 Hotel Bristol – własność spółki Kaiserhof G.m.b.H. Od 1937 Hotel Sportowy Ilse Dudzik. Po II W.Ś. Dom Akademicki Mewa studentów Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie. Po przeniesieniu obu uczelni do Gdańska w budynku urządzono pracownię PWSM. Od 2002 Hotel Sedan.

ul. Generała Jarosława Dąbrowskiego 2-4 (Roonstraße)

„Pamięć / Zikorn. Sopotka społeczność żydowska” – Muzeum Sopotu 2018-2019: pensjonat Katinki Scheuffler, w latach 30. XX wieku przekształcony w mieszkania czynszowe oraz biuro Isidora Lipowskiego (handlarza papierami wartościowymi, działacza bractwa pogrzebowego Chewra Kadischa).

„Zapomniani byli w mieście” – Hanna Domańska 2001: róg Dąbrowskiego (Roonstrasse) 2/4 i Chopina (naprzeciwko synagogi) – Pensjonat „Schauffler” Katinki Schauffler (zm. 1931). Po IWS nr 4 sprzedany Jakubowi Chenciner z Warszawy – na mieszkania, nr. 2 pensjonat do 1931, potem mieszkania. Nr. 2, mieszkania: inżyniera Salomona Ginsburga z żoną Rosą i jej matką Paschą (zm. 1936), Izidora Lipowskiego (zm. 1937) z Chewra Kadiszy i jego żony Minny z.d. Margoniner (zm. 1933), rodziny kupca Bernharda Altera. Nr. 4 mieszkania: Paula Jefimowicza Naydy – skrzypka, nauczyciela muzyki, właściciela prywatnej szkoły muzycznej dla młodzieży żydowskiej, Heinricha Rosenfelda z żoną Luisą – lekarką i matką Gotdą, Meyera Leitesa (do 1938). Nadal dom mieszkalny.



al. Niepodległości 741 (Danziger Straße/Adolf Hitler Straße)

Pamięć / Zikorn. Sopotka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu 2018-2019: warsztat szewca Mosesa Szynklera.

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: warsztat i mieszkanie szewca Mosesa Szynklera z żoną Gitłą z domu Ezerowicz i synem Beniaminem również szewcem.

Tajemniczy Sopot – Hanna Domańska 2008: przedstawicielstwo Forda prowadzone przez Jakoba Rotblita.

**al. Niepodległości 746 i 746a
(Danziger Straße/Adolf Hitler Straße)**

Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska
– Muzeum Sopotu 2018-2019: komuna
mieszkalna żydowskiej biedoty, właścicielem
budynków był ostatni przewodniczący gminy
synagogalnej Siegmund Seelig.



ul. Kazimierza Pułaskiego 34 (Bismarckstraße)

Pamięć / Zikorn. Sopocka społeczność żydowska – Muzeum Sopotu
2018-2019: willa Maxa Danzigers, właściciela sklepu z artykułami
gospodarstwa domowego (budynek zachowany).
Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: willa rodziny
Danzigerów w latach 1919-1937 – Maksa, jego żony Selmy (zm. 1935)
z domu Markus i ich synów Manfreda oraz Edmunda, ich mieszkanie
w latach 1919-20 i 1930-37.



„Ziemia Esperantystów” w Dolinie Świeżowskiej

Zapomniani byli w mieście – Hanna Domańska 2001: Ziemia
Esperantystów „Esperantogrunt” – łąka i zagajnik w Dolinie
Świeżowskiej, którym nadano taką nazwę w 1927, na
zakończenie XIX Kongresu Esperantystów w Gdańsku. Zasadzono
wtedy również dąb upamiętniający 10 rocznicę śmierci twórcy
esperanto Ludwika Zamenhofs. Dąb został ścięty w 1939.
W 1959 r., w setną rocznicę urodzin Ludwika Zamenhofs,
posadzono w tym samym miejscu nowe drzewko nazwane
Jubilea Kwerko – Dąb Jubileuszowy.

Żydzi sopoccy. Zagłada i odrodzenie

Hanna Domańska

W 1920 roku, na mocy postanowienia Traktatu Wersalskiego, Sopot włączony został w granice administracyjne Wolnego Miasta Gdańska. Odtąd nadmorski kurort żył w blasku i cieniu rozgrywających się w Gdańsku wydarzeń.

Cienie pojawiły się stosunkowo szybko, gdy w 1930 roku przyjechał tu gauleiter Albert Forster. Od tego momentu władza w Wolnym Mieście spoczęła w rękach hitlerowców, którzy bardzo szybko zaczęli stosować różne szykany zarówno w stosunku do Polaków, jak i do Żydów. Odzew przyszedł już dwa lata później. W roku 1932 na murach Lwowa pojawił się afisz w języku polskim i jidysz, wydany przez związek Żydów byłych Uczestników Wojny i Walk o Niepodległość Polski. Afisz rozpoczynał się od apelem: „Nie wyjeżdżajcie tego lata do Sopotu (...) W Gdańsku szerzy się rozwydrzony nacjonalizm, rozbrzmiewają hasła szowinizmu wprost zoologicznego...” W roku następnym zaczęto wydawać w głębi Polski, w Warszawie i Wilnie odezwy nawołujące do jedności Żydów, do walki z antysemityzmem i bojkotu towarów niemieckich. Natomiast w Wolnym Mieście Żydzi byli coraz bardziej rugowani z życia publicznego.

W roku 1935 na plażach Sopotu i Brzeźna miały miejsce manifestacje antyżydowskie. W pełni sezonu letniego jeździły po Sopocie samochody z antysemickimi transparentami, na moło wywieszano flagi ze swastyką, a po sklepach sportowych buszowały nazistowskie bojówki. W odwecie żydowscy letnicy zaczęli opuszczać miasto i kwaterować się w pobliskim Orłowie. Robili to także Polacy.

Dwa lata później nastąpił już zmasowany atak na wszystkie sklepy żydowskie. Wiele z nich przejęli niemieccy zarządcy. Żydów usunięto targowiska miejskiego, a przed świętami Bożego Narodzenia tego roku, władze niemieckie wydały nakaz umieszczenia przed sklepem tablic z pełnymi imieniem i nazwiskiem właściciela. Przed sklepami żydowskimi zaczęły się wówczas pojawiać uzbrojone pikiety, utrudniające do nich dostęp. Wielu kupców oraz ich rodziny przypłaciły te szykany życiem. Sopocka księga zgonów wykazuje w tym okresie znaczny wzrost śmiertelności osób w średnim wieku. Najczęstszą przyczyną zgonów był atak serca. Dalszą konsekwencją było opustoszenie miasta. Miejscowi Żydzi wyjeżdżali już od roku 1935, kuracjusze zbojkotowali Sopot całkowicie w roku 1938. Bezpośrednio przyczyniły się do tego liczne szyldy, ustawiane w mieście, informujące, że

Żydzi nie są mile widziani w miejscach kąpielowych oraz decyzje sopockiego nadburmistrza, zdeklarowanego nazisty Ericha Tempa o utworzeniu w mieście getta oraz gauleitera Forstera o tzw. getcie plażowym. Ze względów finansowych decyzje te nie dotyczyły Kasyna, które i tak opustoszało, bowiem Żydzi zaczęli masowo zwracać karty wstępu.

W drugiej połowie 1938 roku nasiliły się w mieście rewizje sklepów i napady na żydowskie mieszkania. Wydany został zakaz wstępu Żydów do kin i teatrów oraz zakaz pracy w instytucjach państwowych. Po spaleniu synagogi w „noc kryształową” rozpoczęła się już systematyczna akcja likwidacji gminy wyznaniowej.

Pomimo masowych wyjazdów drogą morską poprzez Gdynię, oraz lądową przez Gdańsk, tuż przed wybuchem wojny, w sierpniu roku 1939 przebywało jeszcze w Sopocie 140 Żydów. Niektórym udało się pozostać, wykorzystując znajomości lub „dobry” aryjski wygląd i nazwisko. Jako przykład może służyć pomoc domowa Gertruda Sara Schleckriede. Jej nazwisko znajduje się w książce adresowej Sopotu z roku 1942. Rok później najprawdopodobniej ktoś ją jednak zadenuncjował, bowiem została aresztowana przez Gestapo i wywieziona do obozu koncentracyjnego w Stutthofie, a po pół roku przetransportowano ją do Auschwitz. Z relacji starszych sopocian wiadomo, że Żydzi ukrywali się również w niektórych domach w centrum miasta. Większość jednak została przez hitlerowców zgromadzona jesienią roku 1939 na placu przy hotelu „Victoria”, załadowana do wagonów towarowych i wywieziona do Generalnego Gubernatorstwa.

Powrót i ponowne zasiedlenie nastąpiło tuż po ukończeniu działań wojennych. Ci, co cudem przeżyli wojnę, chcieli zobaczyć swoje domostwa i mieszkania w złudnej nadziei, że coś z ich majątku ocalało. Inni myśleli o cichej przystani. W 1945 roku przebywało w Sopocie 50 Żydów, a dwa lata później już 454. Z myślą o nich do 1949 roku działał w Sopocie kibuc budynkowy o nazwie „Kineret”, zorganizowany przez Zjednoczenie Syjonistów Demokratów „Inchud”. W kibucu oprócz mieszkań znajdował się punkt

wydawania odzieży oraz żywności. Znajdowała się tam również stołówka. Żydzi mieszkali również w wielu innych miejscach. Moja szkolna koleżanka Miriam była bibliotekarką w żydowskiej świetlicy, gdzie odbywały się spotkania i prelekcje na temat Izraela, a młodzież uczyła się języka hebrajskiego i przygotowywała do wyjazdu. Wykłady miał tam również gdański rabin, Natan Trzaskala. Młodzi Żydzi byli też częstymi gośćmi w ocalałej synagodze w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie również zorganizowano świetlicę, kuchnię, magazyn i biura Okręgowego Komitetu Żydowskiego. Ponowny exodus sopockich Żydów rozpoczął się w połowie 1947 roku, już po krwawym pogromie kieleckim, który zapewne przyspieszył decyzje wielu osób o emigracji – i był systematycznie kontynuowany przez kolejne 3 lata. Na pozostanie zdecydowali się tylko nieliczni ocaleni z holokaustu,

zaręczeni lub ożenieni z Polkami lub Polakami, a także ci, którym nie groziła deportacja w związku z tworzoną w Sopocie tzw. strefą nadgraniczną.

Sopocki cmentarz żydowski zamknięto administracyjną decyzją lokalnych władz w roku 1948. Powoli zaczął popadać w ruinę, a nagrobki rozkradziono albo zdewastowano. Jedyną ocalałą w Trójmieście synagogę we Wrzeszczu oddano w roku 1951 władzom miejskim za symboliczną złotówkę.¹

Hanna Domańska

¹ Przez kilkadziesiąt lat budynek był siedzibą Państwowej Szkoły Muzycznej II Stopnia; od roku 2009 – po kilku latach sporów kompetencyjnych – trafił pod opiekę Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP.



Grzegorz Kłaman *Emblematy widok ogólny*, 1993 | fot. z archiwum autora

Żydzi i żydy

Wojciech Futek

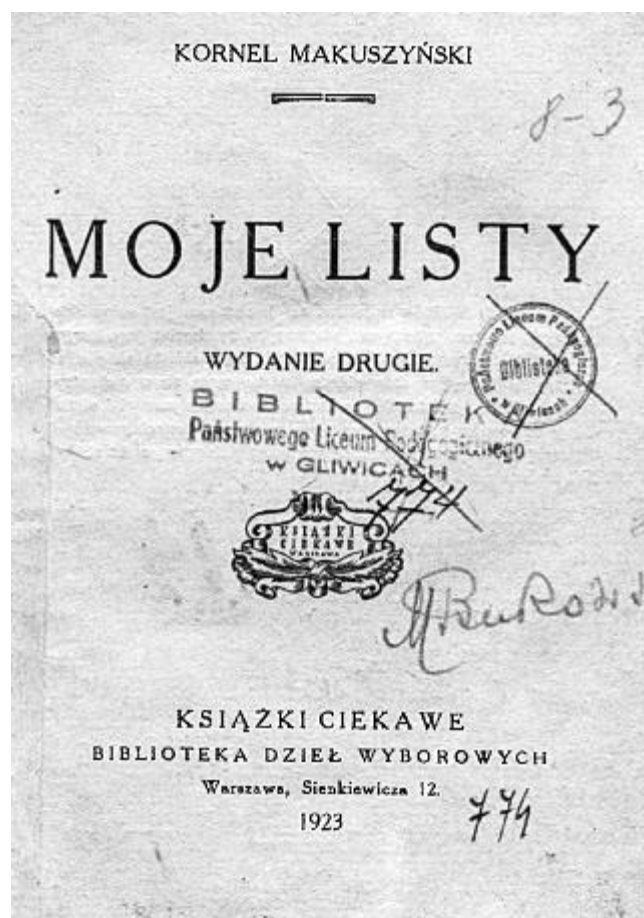
Jako urodzony sopocianin „od zawsze i na zawsze”, długo mieszkam w historycznej dzielnicy Karlikowo przy małej, kameralnej uliczce, której patronem w roku 1945 – na kolejnym zakręcie historii – został Berek Joselewicz.

Chyba już się nie dowiemy komu wpadł do głowy pomysł, aby przedwojennej Reuterweg w Weltbad Zoppot – przy której mieszkali głównie niemieccy pracownicy pobliskiej rzeźni i masarni – wyznaczyć jako patrona żydowskiego faktora i handlarza końmi, późniejszego twórcy i dowódcy żydowskiego pułku konnego, walczącego w insurekcji kościuszkowskiej. Berek Joselewicz dosłużył się ostatecznie stopnia pułkownika, walczył w Legionach Polskich i zginął podczas bitwy pod Kockiem w roku 1809. Z Sopotem nie miał nic wspólnego.

W XX wieku żydowska społeczność w Sopocie była wyjątkowo liczna. Funkcjonowały tu żydowskie hotele, eleganckie sklepy, koszerne restauracje. Tuż przed wybuchem I Wojny Światowej oddano do użytku okazałą synagogę, ufundowaną przez bogatego gdańskiego kupca Kacpra Silbersteina, a na terenie zakupionym od miasta przez gminę żydowską zorganizowano cmentarz. I to takie właśnie miejsca i ślady obecności sopockich Żydów uwiecznił na swoich fotografiach, które prezentujemy w tym numerze, Jacek Lidwin. Na początku lat 30. przynależność do żydowskiej diaspory deklarowało już blisko 4500 stałych mieszkańców miasta. Nic więc dziwnego w tym, że polscy Żydzi chętnie odwiedzali popularny już wtedy Sopot, zwłaszcza latem, korzystając z wszystkich uroków i atrakcji morskiego kąpieliska, w międzywojniu na terytorium Wolnego Miasta Gdańsk.

Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić z jakiej okazji latem roku 1922 odwiedził Zoppot Kornel Makuszyński. Czy była to klasyczna „podróż do wód”, czy letnia wakacyjna wyprawa w poszukiwaniu słońca i kąpeli morskich? A może raczej chęć skonfrontowania swoich doświadczeń z Zakopanego (w roku 1921 ukazują się *Listy Zakopanego* – ironiczno-satyryczny obraz ówczesnej stolicy Tatr) ze „światowym kurortem”, jak wtedy pisano? Może pisarz poszukiwał jakichś konkretnych literackich czy felietonowych inspiracji? W obszernej biografii pióra Mariusza Urbanka (*Makuszyński. O jednym takim, któremu ukradziono słońce*), możemy znaleźć informacje, że

...opis wakacji spędzonych w roku 1922 w Sopocie opublikował najpierw w „Rzeczpospolitej” (gdzie pisarz pełnił



wtedy rolę redaktora działu literackiego i recenzenta teatralnego – przyp. WF), a następnie w zbiorze *Moje listy* w Bibliotece Dzieł Wyborowych.

Przy czym Urbanek popełnia błąd, pisząc o Sopocie „należącym do Rzeszy”, co oczywiście nie ma znaczenia w odbiorze felietonowych listów, choć zasługuje na sprostowanie w kolejnym wydaniu tej jedynej jak dotąd opublikowanej biografii pisarza. Makuszyński piszący *Listy z Sopotu* jest już uznanym, 38-letnim literatem, publicystą i krytykiem z bogatym doświadczeniem teatralnym (pełnił funkcję m.in. kierownika literackiego Teatru Miejskiego we Lwowie), a jedno z jego

wczesnych opowiadań zostało nawet przeniesione na ekran filmowy. Niewątpliwie był sympatykiem endecji, zatem trudno się dziwić, że zdecydowanie antysemita (choć ubrana w dość żartobliwy, nawet frywolny styl) treść nie bardzo się różniła od tego, co wypisywała na temat Żydów prasa endecka.

I żadne próby usprawiedliwienia czy wyjaśnienia (jak we wspomnianej biografii), że

w II RP antysemityzm był w życiu publicznym obecny w dużo większym stopniu niż współcześnie. Było na to znacznie większe przyzwolenie, miał też różne oblicza,

nie zmieniają faktu, że „Listów z Sopotu” nie da się dziś czytać bez narastającego z każdą linią wstydu i zażenowania. Oraz zdumienia, że to same świetne literackie pióro, spod którego wyszły *Awantura o Basię*, *Szatan z siódmej klasy* czy *Panna z mokrą głową* było zdolne stworzyć tak obrzydliwe antysemita teksty. Z dzisiejszego punktu widzenia wręcz trudno uwierzyć, że to właśnie ojciec Koziołka Matołka i małpki Fiki-Miki potrafił pisać takim właśnie językiem – nie tyle ironicznym i dowcipnym, co przede wszystkim zjadliwym, szyderczym i nienawistnym. Miałem w związku z tym ogromne opory przed przywoływaniem tu jakichkolwiek cytatów z *Listów z Sopotu*. Bo ich autora w żaden sposób nie usprawiedliwia fakt, że nie był to antysemityzm spod znaku bojówek ONR-u czy getta ławkowego i że Makuszyński nie wysyła Żydów na Madagaskar, jak antysemita pałkarze. Ale jego teksty i osobę wykorzystywali za to bez skrępowania inni, dla których samo słowo „Żyd” było synonimem wroga polskiego narodu i odrodzonego państwa. A pisarz przeciwko temu nigdy nie protestował. Mariusz Urbanek uważa, że szowinizm i antysemityzm Makuszyńskiego miał podłoże nie tyle polityczne czy narodowe, co bardziej socjologiczne, związane z uwarunkowaniami społecznymi.

Dostrzegał żydowską odmienną obyczajową, religijną i kulturową. Irytowała go ich ekspansywność, śmieszyła nadekspresja, przeszkadzała niechęć do asymilacji

– pisze biograf.

Czy właśnie z powodu tej irytacji dobroduszny ojciec *Koziołka Matołka* pisał w roku 1922, że

List z Sopotu powinien być właściwie napisany po żydowsku, jeśli ma być interesujący, stylem soczystym, obrazowym, powinien być wypowiedziany rękami, z wielkim, rozradowanym wrzaskiem; Sopot tegoroczny to jedna wielka mykwa, mykwa zaś jest to wielka kąpielowa, która ma tę właściwość, że po żydowskiej kąpielni jest w niej zawsze więcej cieczy niż jej było przed kąpielą?

Czy to z powodu tej „ekspansywności” napisał, że

...żydowskie kąpiele w Sopocie mają jednak i dobrą swoją stronę, wszystka bowiem ryba, oszalała z przestachu, śmiertelnie załękła, odurzona zapachem, obłąkana z rozpacy, zadartszy ogony, uciekła na polskie morze, gdzie ją można z wody wyjmować rękami, jak oczadziała. Serce się tylko kraje na widok mew. Mewa jest to ptak piękny, lecz głupi, chce sobie czasem urządzić zabawę i leci nad obszar kąpielowy, przestraszyć pluskające się żydzięta; krąży więc nad basenem, krąży, a potem się nagle zaczyna słaniać w powietrzu – trzepoce skrzydłami i wpada w morze, taka nad żydowskim basenem jest lubość aury.

Czy to ze zrozumienia „żydowskiej odmienności” wzięty się takie obrazki, nakreślone jego piórem:

Przybyli wszyscy; starzy i młodzi, biedni i bogaci, we frakach i chałatach, na goło jednak wyglądają oni tak samo i niezliczona ta gromada moczy się w morskiej soli. (...) Kiedy wszystkie żydy są już w wodzie, wtedy dopiero radość bije pod niebiosy: każdy, pływając, tłucze nogami w wodę, pryca, krzyczy z radosnego strachu i płynie na oślep w napadzie zwariowanej odwagi” (...) Pojąć nie mogę, jak zakopiańskie żydy spenetrowały, że w lecie 1922 wcale nie pojadą do Zakopanego tylko do Sopotu, ale jakoś się zwiedziały i wszystkie pojechały za mną.

Ja oczywiście, tradycyjnie już (nieco naiwnie, jak się okazało), szukałem jednak w *Listach z Sopotu* ulotnych śladów obecności stosunkowo dużej społeczności żydowskiej (liczyła ona bowiem wówczas na terenie kurortu ponad 2 razy więcej stałych mieszkańców niż obecni tu Polacy) i ciekawostek historycznych, które poszerzyłyby dostępną wiedzę na ten temat i które można po 100 latach przywołać i wykorzystać w kolejnych artykułach i książkach na temat ówczesnego „Weltbadu”. I niestety niewiele takich fragmentów tam znalazłem. Odkryłem jednak dość niespodziewanie istny pean na cześć ówczesnej Gdyni (wtedy jeszcze małej rybackiej wsi, ale już odkrytej i lubianej przez polskich artystów.

Zacni ci ludzie nadają ton Gdyni i zawładnęli nią najstuszej w świecie. Oni jedni uwielbiają biedną jeszcze i niestojącą piękność Gdyni, podczas kiedy hołota przebywa w Sopocie, oni jedyni wprowadzają tu życie i *robią ruch w interesie* (...) wszelka bieda została utopiona w morzu, a została radość, żądza życia, miłość, słońce letnie, piasek i morze. W Sopocie są ci kurhausy, spelunki, trypoty [kto jeszcze wie, co to znaczy – przyp. WF], jaskinie, kabarety, tancbudy – w Gdyni nie ma nic, a gdzie się lepiej bawia?

Jednak Makuszyński także i ten radosny pean sprowadza na koniec – niestety – do swojego ulubionego w *Listach* wątku:

W Gdyni z żydami w ogóle się nie gada. Żydowin, zresztą, przybywszy do Gdyni, kiedy się rozejrzał, wraca natychmiast bezpośrednim połączeniem Gdynia-Sopot. Dla żydów (pisanych przez autora niemal zawsze małą literą – przyp. WF) Gdynia jest miejscowością niemiłą. Skąd tu tylu katolików?

W roku 1925 Kornel Makuszyński wydaje wspomnienia *Bezgrzeszne lata* (książkę lubianą i wielokrotnie później wznawianą) oraz zupełnie zapomnianą (może i lepiej) powieść *Fatalna szpilka* o jawnie antysemickim charakterze. Już w czasie okupacji (!), w sierpniu 1940 roku zaczyna pisać *Drugie wakacje Szatana* – kontynuację przygód Adasia Cisowskiego, popularnego już przecież bohatera *Szatana z siódmej klasy*. Powieść zaczyna się następująco: „w roku 1937, w którym nadzwyczajnie obrodziły muchy, jabłka i Żydzi w Zakopanem...” Gdyby użyć felietonowego języka samego Makuszyńskiego, z powodzeniem można w podejściu pisarza do tematyki żydowskiej zaobserwować „ogromny przełom”, skoro słowo „Żydzi” napisał tym razem z dużej litery. Powieści pisarz nie ukończył, a *Listy z Sopotu* nigdy się już po wojnie nie ukazały.

Makuszyński nigdy nie był pupilkim PRL-owskich władz, a po oficjalnym zadekretowaniu socrealizmu w sztuce wręcz wegetował, szykanowany i poniżany, a jego przedwojenną twórczość skazano praktycznie na zapomnienie. Zmarł w Zakopanem w roku 1953 i tam został pochowany, a po jego śmierci Ferdynand Goetel w londyńskim tygodniku „Orzeł Biały” napisał, że „dzieła swego nie pohańbił i nie zdradził żadnym podłym ukłonem wobec Kremla”. W podobnym tonie wspominał Jan Lechoń, że „niczego nie zrobił pod sowieckim batogiem, co by przeszło granice koniecznej samoobrony”. Renesans literackiej twórczości autora *O dwóch takich, co ukradli księżyc* na dobre zaczął się dopiero po październikowej odwilży roku 1956. Ale nowe wydania jego książek były wtedy już dość często okaleczone i cenzurowane, co nie ominęło nawet komiksowych przygód Koziółka Matołka. Ewentualnymi protestami autora już nikt nie musiał się przecież przejmować. A o jego przedwojennym antysemityzmie wszyscy też już wtedy zapomnieli.

Wojciech Futek

PS 1 Na marginesie tego tekstu warto jednak przypomnieć, że Kornel Makuszyński jest autorem nieco zapomnianej dziś powieści dla młodzieży *Wielka Brama*, której główną bohaterką jest... Gdynia, tym razem w zupełnie innej roli – jako najważniejsze morskie okno na świat II Rzeczypospolitej. Książka miała premierę w roku 1936 jako literacki hołd wobec miasta, portu i jego budowniczych. Doczekała się również wznowień (choć już ocenzurowana) po wojnie – po raz pierwszy w roku 1947, zanim Makuszyński trafił na czarną listę „niepożądanych” w nowej rzeczywistości autorów. Osobiście uważam, że jubileusz 100-lecia Gdyni, przypadający w roku 2026 jest doskonałą okazją, aby stworzyć „Bibliotekę 100-lecia”, w której – obok *Wiatru od morza* Żeromskiego właśnie *Wielka Brama* powinna stanowić jedną z ważniejszych pozycji. Deklarujemy niniejszym – jako redakcyjny i wydawniczy zespół „Słowa” – chęć współtworzenia (zarówno od strony merytorycznej, jak i wydawniczej) takiej biblioteki, w postaci kanonu gdyńskiej literatury.

PS 2 Jeśli ktoś chciałby powędrować śladami miejsc i obiektów, uwiecznionych na publikowanych przez nas współczesnych fotografiach Jacka Lidwina, zdecydowanie polecamy lekturę książek nieocenionej, nieżyjącej już niestety, dokumentalistki i pisarki, Hanny Domańskiej. *Kadisz gdańskich kamieni*, *Zapomniani byli w mieście*, *Żydzi znad gdańskiej Zatoki* – to pozycje, które odkrywają przed nami fascynujący i odmienny od naszego świat, którego już od dawna nie ma i który nigdy nie wróci. Ale zawsze warto pamiętać, że Pomorze przez lata było również rodzinnym domem dla licznej żydowskiej społeczności.

WF



Grzegorz Kłaman *Stocznia # 4b lightbox 2010* | fot. z archiwum autora

Kompozytor w bufecie

Siedem miniatur o profesorze Eugeniuszu Głowskim

Franciszek Rusek

„Ciepła, życzliwa rozmowa...

...około godzinna, przy kawie, sympatyczna – bez jakiegoś większego dystansu, napuszenia.” Tak swoje pierwsze spotkanie z Eugeniuszem Głowskim opisuje Marek Czerniewicz – pedagog kompozycji w Akademii Muzycznej w Gdańsku, gdzie ukończył studia pod kierunkiem właśnie profesora Głowskiego. O czym rozmawiali? Wcale nie o teczkę kompozycji, którą Czerniewicz przywiózł pod pachą z rodzimej Warmii. Głowskiego nie to interesowało przy pierwszym spotkaniu – rozmowa toczyła się wokół literatury, poezji, filozofii, a nawet poglądów politycznych kandydata. Z utworami się później zapoznał, ale w pierwszej chwili chciał wiedzieć kto do niego przyszedł.

„Rozrykowiec”?

Głowski urodził się w 1938 roku w Toruniu, ale od zakończenia wojny mieszkał w Gdańsku, do śmierci w roku 2019 r. Po ukończeniu Państwowej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina odbył studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Sopocie, potem w Gdańsku, uzyskując najpierw dyplom z teorii muzyki (1967, pod kierunkiem prof. Marka Podhajskiego), a dopiero później – z kompozycji (1971, klasa prof. Konrada Pałubickiego). Studiowanie muzyki poważnej nie było jednak w jego przypadku takie oczywiste. Tak to wspominał:

Miałem podwójne przygotowanie muzyczne – mama wciąż gnęła mnie do muzyki poważnej, a wujek [akordeonista, grający muzykę taneczną w Trójmiejskich restauracjach – przyp. aut.] – rozrykowiec. Uprawiałem i jeden i drugi gatunek. Gdyby losy trochę inaczej się potoczyły, byłbym prawdopodobnie rozrykowcem. W trakcie studiów (...) działałem w zespole jazzowym Jerzego Sapijewskiego. Występowaliśmy w składzie: Jerzy Sapijewski – fortepian, Roman Skurzyński – kontrabas, Bogdan Jopyk – perkusja, Włodzimierz Nahorny – saksofon altowy, w grupie wokalne były Aleksandra Osadowska, Izolda Suslak, Kazimierz Guzowski i ja.

Mimo ostatecznego wyboru klasycznej ścieżki, muzyki rozrykowej nigdy do końca nie opuścił. Zespół jazzowy nie funkcjonował wiecznie, ale Głowski grał jeszcze na fortepianie w różnych innych składach, w klubach studenckich, szkołach i knajpach też.



Eugeniusz Głowski | fot. ze zbioru Akademii Muzycznej w Gdańsku

Liryzm

Za swoje hobby Eugeniusz Głowski uznawał literaturę piękną i naukową, poezję i filozofię. Był osobą głęboko refleksyjną, skłoną do przemyśleń stanowiących potem źródło inspiracji w pracy kompozytorskiej. Rozległe humanistyczne zainteresowania silnie widać w twórczości, szczególnie wokalno-instrumentalnej. Wykorzystywał w znacznej mierze teksty polskie – Anny Kamieńskiej, Wisławy Szymborskiej, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza. Poezja zawsze stanowiła dla niego silną inspirację i już w młodości tawił po księgarniach tomiki ulubianych artystów. Jak pisał Marek Podhajski:

Z tej pozornej różnorodności autorów i tekstów wyraźnie wyłania się główny wątek zainteresowań kompozytora. Jest to motyw sytuacji egzystencjalnej człowieka związany z zagadką sensu i celu ludzkiego bytu.

Człowiek z pewnością stanowił jedną z jego głównych wartości. Przejawia się to nie tylko w tekstach kultury, które Głowski tak pilnie czytywał, ale również w pracy pedagogicznej. Stanowiła dla niego misję i przede wszystkim przez nią został zapamiętany.

Muzyka a szczerłość

„Nie zawsze dobry śpiewak jest dobrym pedagogiem, ale dość często świetny pedagog jest bardzo miernym solistą” – tę myśl Tadeusz Machl odniósł do twórczości Eugeniusza Głowskiego recenzując jego dorobek. Wskazał na zacofanie zapisu partyturowego i niezrozumiałą instrumentację, choć zważywszy bardzo owocną pracę pedagogiczną Głowskiego wystawił ocenę pozytywną. W nieco podobnym, acz łagodniejszym tonie wypowiadał się Aleksander Lasoń, wyrażając obawę o niską atrakcyjność twórczości dla bardziej wytrawnego słuchacza oraz troskę o indywidualność kompozytora, którego muzyka sprawia wrażenie „jakbym wszystko to dobrze już skądś znał”. Warsztat unikający nowatorskich trendów – co było przyczyną sceptycyzmu Machla i Lasonia – znajdował jednak uznanie i doczekał się w środowisku głosów przeciwnych. Twórczość Głowskiego bardzo cenił, o czym też często pisał, prof. Marek Podhajski:

Jest to muzyka głęboko emocjonalna, skupiona, skierowana do wewnątrz, skromna i bardzo osobista, wyrafinowana w szczegółach, dotykająca w swym przestaniu spraw ważnych, skłaniająca do refleksji. Jak się wydaje stanowi muzyczny portret cech osobowości swego twórcy.

Dzieło Głowskiego z pewnością jest ściśle związane nie tylko z jego charakterem, ale również (a nawet przede wszystkim) z wyznawanym przez niego systemem wartości. Patriotyzm (także lokalny), religia katolicka i głęboki humanizm przepełniały nie tylko jego światopogląd, ale łatwo je odnaleźć w tytułach kompozycji – *O miłości ziemi ojczystej*, *Rok czterdziesty piąty*, *Jesteśmy ludźmi morza*, *Modlitwa*, *Litania do narodów* i w wielu. Tutaj znowu Podhajski:

Nie stosuje strategii – to modne, popularne, więc postaram się tak pisać. Nie sprzedaje fałszywej monety - co rozumiem jako odrzucenie przez twórcę tego, co czuje, na rzecz chwilowego zysku czy uznania. Za to go cenię.

W dojrzałej muzyce profesor faktycznie unikał błyskotliwych i zbędnych sztuczek, efektów – nie odnajdywał zbyt wielu wartości w awangardzie samej dla siebie. Zdecydowanie zdradzał zamiłowanie do środków prostych, tradycyjnych, takich jak klarowna forma, zogniskowanie na melodii, specyficznej dla siebie harmonii. Tym samym potrafił jednak trafić do mniej zaawansowanych odbiorców,

w tym do dzieci i starszych uczniów. Jak wspominał Marek Czerniewicz:

Ja najpierw poznałem muzykę profesora Głowskiego. (...) Jako uczeń szkoły średniej zostałem akompaniatorem chóru dziewczęcego (...) i one śpiewały dwie kompozycje profesora – *Węża* do słów Jerzego Ludwika Kerna i *Wierzbę przydrożną* do słów Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Do młodzieży przemawiały lekkość i humor obecne między innymi właśnie w *Wężu*, ale bliskie też całej postaci Głowskiego, nie tylko jego twórczości młodzieżowej. Tutaj ponownie Czerniewicz: „Pan profesor był postacią życzliwą... trzymającą też jakąś klasę i dystans, ale generalnie na swój sposób wyluzowaną. Zabawną i żartobliwą. Ten humor był ważny - »Żarcikiem rzucić? Proszę bardzo!«”

Tradycja

Oblicze „Gienia”, jak mówili o nim przyjaciele, nie zawsze było łagodne – przytrafiały się i stanowczość i wojowniczość. Przy różnych okazjach (choćby egzaminach z kompozycji) potrafił pokazać pazur w sporze o idee estetyczne. Podobna waleczność budziła się w nim w obronie wyznawanych wartości. Nie omieszkiał ich manifestować – w sposób negatywny postrzegał w latach 90. zeświecczenie jakiemu ulegało państwo i jako katolik-tradycjonalista uważał wiarę za nieodłączny element kultury narodowej. Mimo konserwatywnych poglądów słynął z życia starokawalerskiego, za to tym większe zaskoczenie wywołała wiadomość, że w zaawansowanym już wieku wziął ślub. Bogumiła Głowska, organistka, stanowiła dla niego z pewnością cenne wsparcie w tych późnych latach. Niestety, gdy odeszła nagle w marcu 2018 roku, Eugeniusz Głowski dołączył do małżonki 2 miesiące później.

Jak allegro sonatowe...

... wyglądały zajęcia z profesorem Głowskim, we wspomnieniach Marka Czerniewicza. Zaczynały się bowiem od wstępu – wcale nie muzycznego, zawsze ciekawego i innego zagajenia. Później następował temat pierwszy, nawiązujący do kompozycji pokazywanej przez studenta. Na zasadzie przeciwstawienia profesor Głowski dobierał do niego temat drugi – niemuzyczny, wzięty raczej z życia. W przetworzeniu całość się mieszała: muzyka z filozofią, polityką, sprawami bieżącymi i nie tylko. W reprzyzie oczywiście to wszystko powracało, niekiedy nieco rozwinięte – zarówno temat „muzyczny” jak i „niemuzyczny”. Niekiedy allegro lub jego część zastępowała część wolna, inicjowana choćby słowami: „Wróciłem wczoraj z Bydgoszczy [gdzie również wykładał w Akademii Muzycznej – przyp. aut.], trochę zmęczony, chodźmy do bufetu, zjedźmy batonika, wypijmy kawę, zapraszam!”. Bufet niewątpliwie Eugeniusza Głowskiego

w pociąg. Tam też miało miejsce przytoczone na początku pierwsze spotkanie Czerniewicza z Głowskim:

– Kto tutaj uczy kompozycji?
– A między innymi pan Guzowski, pan Woźniak, ale chyba w bufecie siedzi profesor Głowski.

– Ach, ten od *Węża*... to bardzo chętnie!

I profesor Głowski faktycznie siedział i tak później siedzie-

liśmy przez te 5 lat, później już również poza uczelnią.

Przed wszystkim profesor Głowski został zapamiętany jako pedagog. Życzliwy, nie z tych, którzy „gryzą” i budują dystans. Pewną ostrzejszą szkołę być może przeszedł u swojego mentora, Konrada Pałubickiego, któremu zdarzyło się wyrzucić przez okno indeks (który podobno trafił wprost do kosza na śmieci). Głowski trzymał klasę i studenci czuli wobec niego zdrowo pojęty szacunek, lecz jednocześnie był też pełen życzliwości i humoru.

Gienio

W muzyce miał szczególne upodobanie do miniatur – stąd nie wyobrażałem sobie zobrazowania tej sylwetki inaczej, niż w formie kilku spojrzeń na najważniejsze aspekty jego życia. Nie tylko wykształcił kolejne pokolenia kompozytorów (pozostaje w ten sposób również i moim kompozytorskim „dziadkiem”), ale przede wszystkim nauczył i nadal może nauczyć głębokiego wyrażania siebie poprzez muzykę. Swoją postawą inspirował do szczerości wobec własnego wnętrza – światopoglądu, osobowości, ludzkiej natury – i odzwierciedlenia tego w sposób autentyczny. Nie bał się iść na przekór trendom, nawet gdy nie zawsze spotykało się to ze zrozumieniem. W środowisku pozostał postacią cenioną przez tych, którzy go znali, ale jednocześnie nieco tajemniczą dla młodszych. Jego dorobek bowiem nie znajduje się na papierze, nawet tym nutowym, ani w dźwięku instrumentu, ale trwa w żywym człowieku, który dla Eugeniusza Głowskiego był jedną z najważniejszych wartości. I choć w bufecie już nie ma profesora, to z pewnością pozostanie w życzliwej pamięci kolejnych pokoleń kompozytorów.

Franciszek Rusek



Kompozytorzy Marek Czerniewicz (z lewej) i Eugeniusz Głowski, po kompozytorskim koncercie jubileuszowym Eugeniusza Głowskiego, grudzień 2008
| fot. ze zbioru Marka Czerniewicza

Źródła:

Katarzyna Korczak, *Autentyczna, szczerza, przekonywująca muzyka*, Autograf 2020 nr 2, <https://e-teatr.pl/autentyczna-szczerza-przekonywujaca-muzyka-3107> (dostęp: 29.01.2024)

Agata Krawczyk, *Sfera wartości w twórczości kompozytorskiej Eugeniusza Głowskiego*, Międzynarodowa Konferencja „Muzyka wobec wartości”, Bydgoszcz 22-24.11.2022, https://www.youtube.com/live/EsHjtUIQG6c?si=8fW6-P4js8Hf0_16 (dostęp: 29.01.2024)

Franciszek Rusek, wywiad z dr. Markiem Czerniewiczem z dnia 20.12.2023

Spuścizna Eugeniusza Głowskiego (notatki, rękopisy, listy, dokumenty) została przekazana w roku 2019 do Biblioteki Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku

Nucąc kołysanki

z Grzegorzem Bronakowskim rozmawia Wojciech Boros

Twe wiersze momentami są jak mroczne baśnie, które można opowiadać tylko głęboką nocą, gdy ich prawie nikt nie słyszy. Myślisz o nich czasem w ten sposób, czy też widzisz je zupełnie inaczej?

Czasami opowiadam bajki w środku nocy, zdarza mi się sięgać po mikrofon i improwizować wiersze, kiedy nikt ich nie słucha, zdarza mi się gadać wiersze do morza, śpiewać piosenki na peronie, lub recytować coś bezdomnemu. Widzę moje wiersze różnie, one są odmienne, tak w formie jak i w procesie powstawania. Moja poetyka to często wyrwa w rzeczywistości, przez którą wlewa się słowo – czy wsiąka w piach, czy użyźnia czyjąś wyobraźnię bywa sprawą drugorzędną.

Treści zawarte w tekstach poetyckich Bronakowskiego są przejrzyste – podmiot liryczny stojący za tymi utworami ceni sobie kontakt z osobami, które sięgną po te słowa – nie myślę się?

Trochę odpowiedziałem na to przy poprzednim pytaniu. Piszę od dwudziestu lat i w tym czasie moje wiersze przechodziły różne etapy od ciągów świadomości, w których jedynym sensem był bezsens, aż po obrazowanie i konkretną historię zawartą w tekście. Mocny skręt w tę stronę moja poetyka wykonała po tym, jak zainteresowałem się slamami – wtedy odbiorca stał się dla mnie bardziej namacalny, trudniej było mi go ignorować.

Regularnie bierzesz udział w slamach, które obficie występują ostatnio nie tylko w Trójmieście, ale i w całej Polsce. Co Ci daje ta aktywność osobiście, a co chciałbyś w ten sposób dać innym?

Dla mnie to przede wszystkim nośnik, to miejsce gdzie mogę wyjść i zaprezentować wiersz, lub zaimprovizować

go. Osobiście daje mi to „fun”, po prostu chwilę emocji, możliwość przekazania komuś swojej myśli – ludzie słuchają, są tam specjalnie, żeby wysłuchać między innymi mnie. Możliwe, że gdybym miał inną scenę i publikę to zrezygnowałbym ze slamów, uwiera mnie w nich forma konkursu.

Potrafisz stworzyć dłuższą formę poetycką, ale z powodzeniem sięgasz także po haiku i swoiste wariacje na jego temat – lapidarność jest bliska?

Haiku i jego zasady były dla mnie bardzo istotnym odkryciem, bardzo rozwijającym twórczo. Brak metafory oraz proste obrazowanie, które potrafi „usadzić” czytelnika. Lapidarność często jest mi bliska, aż po niezrozumienie, bo tworzę, zwracając uwagę na detale, które dla czytelnika mogą nic nie znaczyć, a wtedy wiersz potrafi nic nie znaczyć. Staram się odnajdywać balans między sensem a skrótem, lubię również „przegadywać” swoje teksty, bo nad lapidarność przekładałam brzmienie.

Oprócz poezji pisujesz także prozę, z którą pojawiaasz się regularnie m.in. na gdańskim konkursie na krótkie prozy „A4” (ostatnia dziewiąta edycja miała miejsce w kwietniu 2024 r.). A więc nie chcesz być li tylko poetą – marzy Ci się i taki debiut w przyszłości?

W zasadzie to nie marzę o debiucie. Moje książki (których nigdy nie wydałem) to były patchworkowe połączenia wiersza, prozy i dramatu, a nawet przeplecione utworami rapowymi. Co jakiś czas zaczynam coś pisać i możliwe, że gdybym marzył o debiucie w tej czy innej formie, to kończyłbym te swoje twory, szukał dla nich wydawcy i miałbym debiut już za sobą. Obecnie jestem na etapie pisania tomiku poezji (mimo, że wierszy mam nań kilkanaście już gotowych), bardziej na zasadzie wyzwania niż spełniania marzeń.

OJCIEC PACHNIAŁ BRUTALEM

nasze rozmowy polegały na tym że opowiadał
o byciu chuliganem i że to było honorowe
i jak go pchnęli nożem
mówił że kiedy się pojawił na wiosce
wyrzucili kieliszki – nauczył pić ze szklanek
i że trzeci guzik to splót słoneczny
a agresja nie jest wyjściem
w agresję się tylko wchodzi

dziś gdy siadamy na chwilę na fajkę
opowiada kto w okolicy zmarł
kto gdzie się zbudował i ile ma dzieci

wiem że do tego chciałby dodać
że mam obowiązki nazwisko ostateczni z rodu
lecz milczy i to milczenie pomiędzy nami
piętrzy się przez wszystkie lata
kiedy to nigdy tata a zawsze ojciec
kiedy wyszedłem i nie chciałem wracać

więc tak siedzimy w milczeniu
aż papieros gaśnie i myślę że gaśnie i on
bo zasnął jak siedział
i cicho mówię
kocham cię tata

WOJACZKOM

Chodzę i pytam: gdzie jest moje miejsce w schronie?
pod czym domem w jakim mieście rośnie?
po których schodach bezpiecznie jak w tonie?
pod którym urzędem składem na miotły?

w jakiej piwnicy wśród stoików uprzejmą niszą?
w którym podziemnym parkingu trumienką?
czy zdążę nim wszystkie bomby spadną?
czy zdążę czy spadną?

w którą stronę bez paniki wejść?
na jakim placu ziemia się otworzy i wpadnę?
serce bije czy bomby - bomby czy werble?
czy zejść tam czy zejść?

POCZTÓWKA Z LUDOBÓJSTWA

tego nie opisze jędrna metafora
gładka mowa gdy nawet lufy są gwintowane
gdy nawet tzy są chropowate i ostre
choć wciąż wsiąkają zbyt łatwo
jak krew w piach

trzeba by wymyślić nazwy od nowa
drukować na kartkach które ranią palce
zamykać w trumnach niszczyć to co w głowach
a świat i tak zapomni krzycząc że jest idealny

kolejni ludzie zmienieni w suche fakty
kolejny pluszak na tle krematorium
co mam napisać - że czuję się martwy?
że skurwysyństwo nie mieści się w słowach?

to czas poetów płaczących na kartki
będziemy je rozdawać później na wieczorkach
ku zrozumieniu nie dla fejmu farsy
rozdamy puste kartki w plastikowych workach

BANALNE WIERSZYKI

kiedy wychodzę zamykam na klucz
twój sen
na który patrzyłem przed chwilą
przez niespotykane rozczulenie
jak patrzy się na dziecko
jak przez tży szczęścia

kiedy wychodzę zamykam na klucz
nie żebyś nie uciekła
aby nie wdarł się świat
pies patrzył z wyrzutem
żeby za chwilę ośtentacyjnie tęsknić
jak ja kiedy ty wyjdiesz

kiedy wychodzę zamykam na klucz
biorę oddech aż rozsadza płuca
wychodzę z tego snu
przewracasz się na drugi bok a pies
układa się w nogach
wszystko wraca na swoje miejsce
ty sen pies i ciepłe miejsce po mnie

SUPER HERO

dzieci bawiły się
że każdy ma super moce
ulubionego super bohatera

jeden udawał że lata i strzela laserami z oczu
drugi strzelał niewidzialną pajęczyną z nadgarstków
trzeci wsiadał na swój bat-rower i szukał złoczyńców
czwarty miał szpadę z kija i pelerynę z koca
piąty uratował świat z klocków LEGO
przed asteroidą piłki którą sam rzucił
ja nosiłem ręce w kieszeni

kiedy byliśmy dziećmi
bawiliśmy się w super bohaterów
ale ze mną nie chciano się bawić
ani w miłość do ojczyzny ani
w ucieczkę z Auschwitz

GAŁGANIARA

jesień to podstarzała gałganiara
przemyka ulicami naszego miasta
zgarbiona pcha wózek z puszkami
nucąc kołysanki dla straconego dziecka

kiedy przechodzi nikt jej nie widzi
dopóki nie podejdzie bliżej
a każde spotkanie chcę szybko odespać
pewnie przez kołysankę którą puszkom nuci

jesień to podstarzała gałganiara
przemyka po bramach sypia po parkach
i nikogo nie ma kto chciałby pogłaskać
wciąż gonią ją złe słowa i zaciśnięte pięści

kiedy zmęczona ucieknie z miasta na chwilę
odleci żurawie przepłoszone z łąki
a drzewa zrzucą zjosienniałe liście
kilka się wplącze w rzadziejące włosy

jesień to podstarzała gałganiara
ciągle przeganiana z miejsca na miejsce
zbiera po nas puszki i cichutko śpiewa
kołysanki dla straconego dziecka

pisklę
oddala się od gniazda
tysiącem mrówek

**Grzegorz
Bronakowski**

Widzimy wszystko doskonale i wszystko rozumiemy

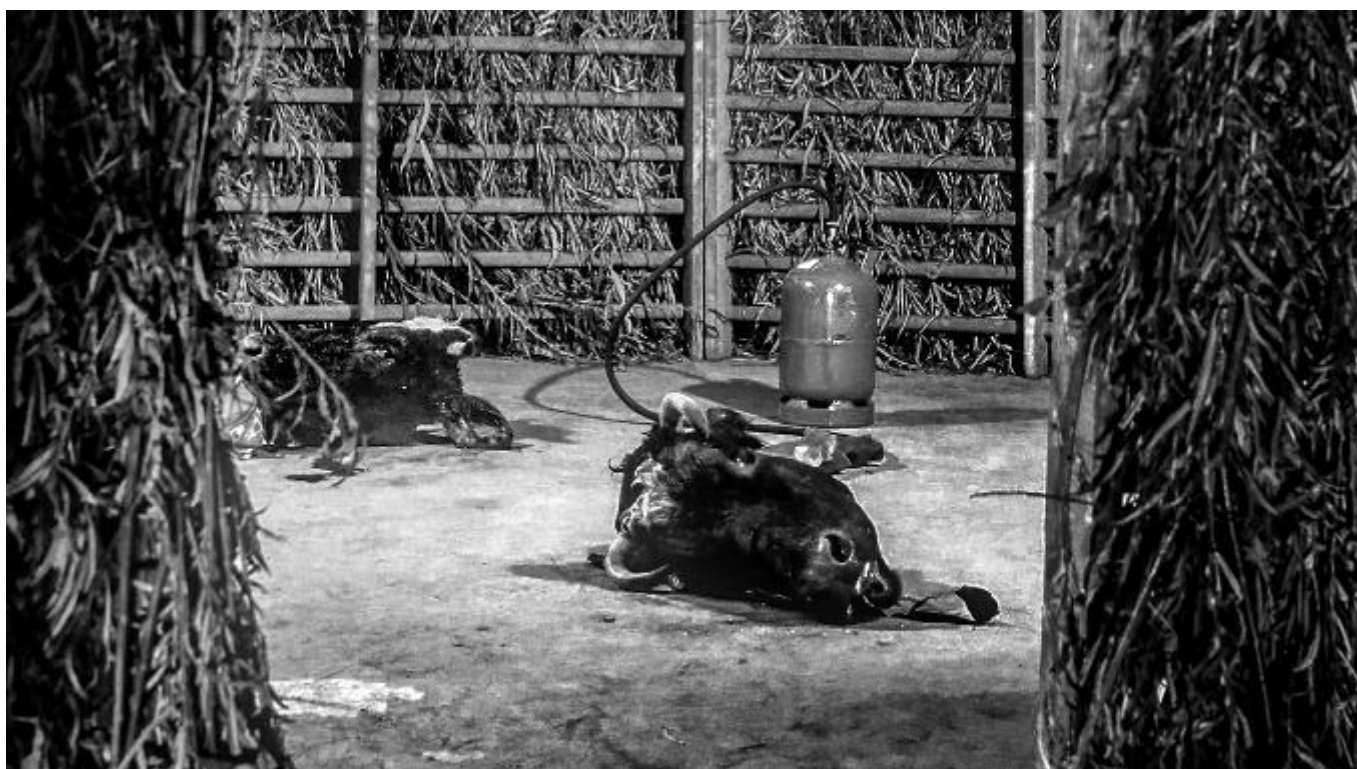
O książkach nominowanych do nagrody Literacka Podróż Hestii 2024.

Janusz Heller

Literatura dla młodszych nastolatków widzi świat takim, jakim jest. W swojej fabularnej strukturze potrafi dostrzegać niuanse i problemy współczesności, wskazując je często wprost i bez kamuflażu. A jednak strategia kamuflażu to wciąż dominujący u nas sposób podejścia do tej literackiej przestrzeni. W teorii, ma strzec dzieci i młodzież przed utratą niewinności. W praktyce, staje się formą cenzury, na tyle naiwną, że jej gorliwi wyznawcy nie dostrzegają już zmian, jakie przetoczyły się przez pole literatury dla młodych czytelników i czytelniczek.

W tradycyjnym odbiorze i krytyce, książki dla osób niedoświadczonych, traktowane są bowiem często z przymrużeniem oka, co wynika chyba z przekonania, że literatura „dorosła” jest bardziej wymagająca i bardziej na serio. Taki pogląd sprawia, że treści dla młodszych wpadają zazwyczaj do przestronnego katalogu „rzeczy banalne” i tracą należną im uwagę szerszego grona odbiorców. Ignorancja ta ma też swoją werbalną stronę – o tej literaturze mówi się „książeczki”, co ma niestety dalekosiężne skutki, bo z każdym takim deprecjonującym machnięciem ręki idzie w parze

głos negujący równoprawne uczestnictwo literatury dziecięco-młodzieżowej w dyskusji o współczesnym świecie. W tegorocznej puli książek nominowanych do nagrody Literacka Podróż Hestii, znalazły się tytuły, które odważnie podejmują ważne tematy, jak na prawdziwą literaturę przystało. Ich autorki i autorzy nie „upupiają” młodszych czy starszych czytających, udowadniając, że ten rodzaj literatury może być głęboki i wielowymiarowy. Każda z książek nominowanych w tym roku do nagrody Literacka Podróż Hestii mierzy się z konkretnym problemem. Natalia Szostak



Grzegorz Kłaman *Ogród rozkoszy ziemskich*, 1992 | fot. z archiwum autora

opisuje kryzys i rozpad rodziny, Maria Strzelecka eksplu-ruje przeszłość i trudną historię łemkowską, Katarzyna Ryrych porusza kwestie trudnego dzieciństwa i nierówności społecznych, Zygmunt Miłoszewski skupia się na dorastaniu i poszukiwaniu siebie w mrocznym świecie, a Karolina Lewestam na tapet bierze temat współodpowiedzialności. Wszystkie te tytuły łączy pasja i głęboka wiara w siłę literatury.

Karolina Lewestam, *Silla, Agora dla Dzieci*

„A świat nas dotąd rozpieszczał. I jak się nagle zaczął stawać gorszy, to sami też z rozpędu zaczęliśmy się robić źli, smutni, samotni albo wredni. [...] A czy komuś w ogóle przyszło do głowy, że można coś z tym wszystkim zrobić? Że można jakoś pokonać ciemne myśli?”

Ta książka to mroźna opowieść fantasy o skutej lodem Krainie Tlate Hiin, gdzie ludzie i zwierzęta żyją w chwiejnej symbiozie – skazani na siebie i wspierający się nawzajem. Białe niedźwiedzie, śnieżne krowy, wilki, foki, renifery, a nawet wiewiórki – są, obok ludzi, równoprawnymi stworzeniami, władającymi wspólnym językiem. Wszyscy oni są podopiecznymi polarnej ZORZY – tajemniczej wyroczni, która (do czasu!) utrzymuje świat w harmonii i równowadze. Ale oto dzieje się coś złego – znika pokarm, Zorza blednie, śnieżne krowy wędrują na północ... Ludzie i zwierzęta czują lęk przed nadchodzącym kataklizmem. Podczas dorocznego święta, które spaja całą społeczność, niespełna dwunastoletni Ari słyszy swoje imię dobiegające zewsząd i znikąd. Wkrótce dowie się, że został powołany do arcytrudnej misji. W jego rękach jest przyszłość Tlate Hiin, a także całego mroźnego świata. Chłopiec wyrusza w długą i niebezpieczną podróż, która wystawi na próbę jego chłopięcą siłę, odwagę i hart ducha. Z pomocą przyjaznych zwierząt Ari brnąć będzie w śnieżnej zadymce ku nieznanemu. Książka „Silla” ma już ciąg dalszy – w ślad za tomem pierwszym ukazał się już drugi: „Strażniczka Perły”. Maria Strzelecka, „Hajda. Beskid bez kitu”, Libra PL

„Nikt nawet nie zauważył, że zakwitł len, a przecież on kwitnie tylko przez kilka godzin, raz do roku. Na nic to wszystko. Chodźmy na drugą stronę ludzkiej granicy, na południowe zbocza gór, tam, gdzie niedźwiedzica. Tu już i tak niczego nie upilnujesz”.

Maria Strzelecka z ogromną empatią i wrażliwością opowiada okrutną historię wysiedlania Łemków po II wojnie światowej. Chłopiec i pies – główni bohaterowie – doświadczają zła, które starają się zrozumieć, ale też na swój sposób oswoić. A to zło dotyka nie tylko ludzi, ale też zwierzęta i rośliny Beskidu Niskiego, tak pięknie przez autorkę zilustrowane. Mocą tej książki jest spokojny, wyważony język, ale też wiarygodność, bo Strzelecka zna tereny, o których pisze, historię wymyśliła w oparciu o prawdziwe wydarzenia, jest świetną przewodniczką po historii i topografii tego miej-

sca. Siłą Hajdy jest również wiara, że wszystkie elementy świata są ze sobą powiązane i że dobro – nawet jeśli nie może zaistnieć w pełni w danym czasie – i tak w końcu zwycięży.

Natalia Szostak, *Zguba, W.A.B. / GW Foksal*

„Byłoby miło, gdyby słowa umiały określić wszystko, opowiedzieć to, co się czuje, ale tak nie jest, słowa są kalekie, połamane, walą między oczy albo zatrzymują się w pół drogi. Czasem łatwiej jest nic nie mówić [...]”.

To debiutancka książka dziennikarki Natalii Szostak, opowiadająca o rzeczach, uczuciach i nadziejach, które gubimy po drodze. Piętnastoletnia Marianna pewnego dnia traci głos. Nagromadzone emocje, osamotnienie i rozczarowanie światem dorosłych sprawiają, że postanawia uciec. *Zguba* to historia 3 pokoleń i 3 zagubionych kobiet. To też historia rodziny borykającej się z narastającymi długami i kłamstwami, co prowadzi do dramatycznych decyzji, w tym wyjazdu do Wielkiej Brytanii.

Zygmunt Miłoszewski, *Hydropolis 2. Walcz, W.A.B. / GW Foksal*

„Nic się nie działo. Tylko piszę, żeby nie było, że nie robię pamiętniczka. Jutro studnia. Nie mogę myśleć o niczym innym. Ale też nie mogę o tym myśleć. Więc nie piszę, żeby nie myśleć”.

To druga już odsłona postapokaliptycznej opowieści o codziennym życiu w Hydropolis. Oczami nastoletniej Emmy poznajemy totalitarny mikroświat. W Czwartej Kolonii Podwodnej nie można sobie pozwolić na niewidzialność. Bohaterka musi wyjść z cienia, żeby skonfrontować się z rówieśnikami, rządzącymi kolonią Starszymi, okrutnym rytuałem Czterech Śmierci, a przede wszystkim – własnymi niepewnościami i słabościami. Czy wystarczy jej siła, kiedy dojdzie do prawdziwej próby? Czy odważy się podjąć ryzyko, żeby ratować przyjaciół? I czy uda jej się – razem z bohaterami pierwszego tomu – odkryć mroczny sekret podwodnego świata?

Katarzyna Ryrych, *Księżniczka na wygnaniu, czyli osiem żywotów Reginy Różyczki, Butterfly / Ibis*

„Idę nogą za nogą, zaglądam ludziom w okna. Większość śpi, ale w niektórych oknach jeszcze pali się światło. Niektóre z tych okien są na poziomie chodnika. Ciekawe, kto tam mieszka? W dzień muszą oglądać ludzkie nogi. Martensy,

szpilki, mokasyny. No i cały smród z ulicy wchodzi do domu. Ale pewnie lepszy taki kąt niż żaden”.

Łacińskie słowo „regina” (łac.) znaczy tyle co „królowa”, niekiedy „księżniczka”, ale nastoletnia Regina Różyczka nie pasuje do baśniowego wizerunku słodkich lał, czekających pokornie na księcia. Jest harda, uparta, obcesowa. Sama nazywa się „dziką kotką”. Z determinacją broni swojej godności i autonomii. A to niełatwe, kiedy jest się córką alkoholiczki, powierzającą opiece niewłaściwych ludzi. „Księżniczka” Regina opisuje swoje dorastanie w emocjonalnej pustce, bez oparcia. Wielokrotnie nadużywane przez bliskich zaufanie nauczyło ją ostrożności w relacjach z ludźmi. Regina syczy i drapie jak osaczona kotka. Jej skrywana wrażliwość jest dobrze chroniona pancerzem dosadnego języka i jawnego buntu. Nie dajcie się zwieść – szorstka w obyciu, szczerza do bólu, Regina jest warta pięciu disneyowskich księżniczek.

Literacka Podróż Hestii to konkurs na najlepszą polską książkę dla młodszych nastolatków, czyli czytelników i czytelniczek w wieku 10-15 lat. Mecenasem konkursu jest ERGO Hestia a jego organizacją zajmuje się Fundacja Artystyczna

Podróż Hestii, działająca w partnerstwie z Fundacją Wisławy Szymborskiej. Inicjatywa odbywa się w tym roku pod patronatem honorowym Biblioteki Narodowej. Nadesłane powieści, opowiadania i powieści graficzne oceniła w tym roku Kapituła, w skład której wchodzi: Artur Borowiński – przewodniczący kapituły i prezes Grupy ERGO Hestia, Michał Rusinek – pisarz, tłumacz, wykładowca, prezes Fundacji Wisławy Szymborskiej, Katarzyna Kasia – doktor filozofii, prodziekan Wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Joanna Olech – autorka książek dla dzieci i młodzieży oraz ilustratorka, Ilona Wiśniewska – autorka nominowana do zeszłorocznej Nagrody Literacka Podróż Hestii za powieść „Przyjaciół Północy”, Maciej Wojtyszko – reżyser filmowy, teatralny i telewizyjny, pisarz, autor książek dla dzieci, dramaturg, profesor Akademii Teatralnej w Warszawie oraz Natalia Wiercińska – reprezentująca Fundację Artystyczną Podróż Hestii. Sekretarzem Nagrody jest Janusz Heller. Tytuł zwycięskiej książki poznamy we wrześniu br., a laureat lub laureatka otrzyma Nagrodę Literacka Podróż Hestii w wysokości 50 tys. zł.

Janusz Heller

Rozstrzygnięcie konkursu

Kapituła dokonała wyboru spośród pięciu nominowanych książek, a w tym wyborze, po raz pierwszy, głos miała Młodzieżowa Rada Literacka. Werdykt ogłoszono 13 września bieżącego roku w Sopocie podczas uroczystej Gali Nagrody Literacka Podróż Hestii.

– Nagrodzona przez nas powieść Karoliny Lewestam podkreśla wartości, które wyraźnie wpisują się w ideę konkursu Literacka Podróż Hestii. To przede wszystkim potrzeba współpracy, która jest szczególnie ważna w obecnych czasach indywidualizmu i różnorodności... – tak tegoroczny wybór komentuje Artur Borowiński, prezes Grupy ERGO Hestia, przewodniczący Kapituły.

– Karolina Lewestam opowiada o rzeczach najistotniejszych w bardzo atrakcyjnej językowo i fabularnie formie. Udała jej się wielka sztuka: w jej powieści nie ma dydaktyzmu, a jednak jest ona głęboko dydaktyczna. I mimo że dzieje się w mitologicznej czasoprzestrzeni, pozostaje bardzo aktualna – dodaje prof. Michał Rusinek, prezes Fundacji Wisławy Szymborskiej.

red.



Karolina Lewestam | fot. Simona Supino

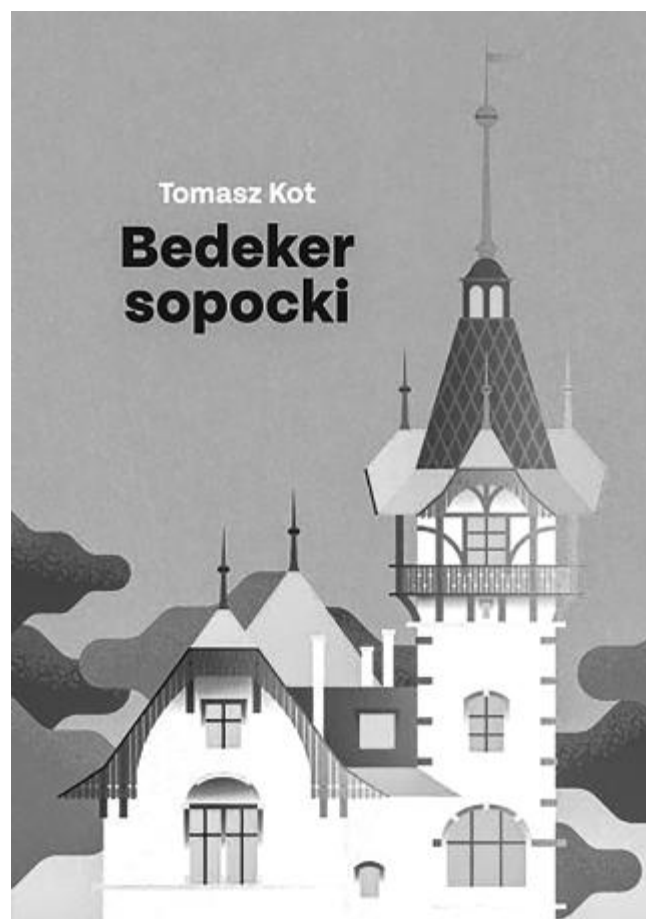
B(a)ede(c)ker nigdy się nie myli?

Wojciech Fułek

Kiedy w roku 1835, młody i ambitny właściciel księgarni i wydawnictwa z Koblencki, Karl Baedeker opublikował w nowej, zaktualizowanej przez siebie wersji pierwszy przewodnik turystyczny, nie mógł chyba nawet marzyć o tym, że jego pomysł wręcz zrewolucjonizuje literaturę podróżniczą i na wiele lat wyznaczy nowe standardy wydawnicze. A już na pewno nie spodziewał się, że kiedyś jego nazwisko stanie się powszechnie używanym synonimem turystycznym przewodników, a on sam będzie patronem jednej z ulic w centrum szybko rozwijającego się na przełomie wieków i zdobywającego popularność nadbałtyckiego uzdrowiska Weltbad Zoppot.

Kiedy w roku 1981 – tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego – pasjonat, popularyzator i znawca historii Sopotu oraz Pomorza, Franciszek Mamuszka po wielu latach pracy i zbierania materiałów, opublikował w Wydawnictwie Morskim swój „Bedeker sopocki”, też nie spodziewał się zapewne, że na długi czas ta unikalna pozycja w pewien sposób zmonopolizuje temat sopockich przewodników turystycznych, bowiem każdy ewentualny autor jakiegokolwiek nowego opracowania będzie się musiał zmierzyć z tym dziedzictwem. 2 lata po tej publikacji Franciszek Mamuszka został odznaczony – w uznaniu swoich zasług dla kurortu – tytułem Honorowego Obywatela Sopotu. Dopiero kilka lat po jego śmierci, w roku 1998 ukazał się „Nowy bedeker sopocki” autorstwa znanej trójmiejskiej dziennikarki, Ryszardy Sochy, związanej z tygodnikiem „Polityka”. Autorka dość ostrożnie podeszła do tematu, z szacunkiem dla lokalnej historii oraz „bedekerowego dziedzictwa” Mamuszki, uzupełniając dostępną już wiedzę głównie o współczesne wątki, istotne dla rozwoju Sopotu w latach 90.

I musiało minąć aż ćwierć wieku, zanim ktoś znów odważył się zmierzyć z legendą ikonicznego wręcz przewodnika Mamuszki. I w rezultacie doczekaliśmy się kolejnego „Bedekera Sopockiego”, stworzonego przez związanego od lat z kurortem dziennikarza i fotografa, Tomasza Kota, niegdyś wydawcy i redaktora naczelnego „Kuryera Sopockiego”. I choć autor nie odżegnuje się od korzystania z dotychczasowych pozycji tego typu, nawiązując wprost „do poprzednich, znakomitych książek tego rodzaju i do całej klasyki gatunku”, to jednak stara się stworzyć pozycję autorską: „coś pośredniego między bedekerem, silva rerum, spacerownikiem i zbiorem reportaży literackich lub po prostu opowieści o mieście”, jak sam pisze we wstępie. Zaznacza też wyraźnie swoją odrębność nie do końca klasycznym, alfabetycznym układem, dzieląc swoją książkę



na 4 odrębne tematycznie rozdziały, poświęcone kolejno: architekturze, ludziom, historii i sopockim symbolom. Z kolei wewnątrz rozdziałów zachowuje jednak tradycyjną, alfabetyczną kolejność poszczególnych haseł. Łącznie jest ich 43 (dla porównania – u Franciszka Mamuszki znalazło się ich 83, a Ryszarda Socha opisała ich aż 92). Oczywiście, nie o ilość tu chodzi, ale kolejnym ciekawym porównaniem

będzie na pewno katalog powtarzających się we wszystkich dotychczasowych bedekerach niektórych haseł. W tym „zestawie obowiązkowym” znalazły się m.in. molo, herb, ojciec sopockiego uzdrowiska – dr Jan Jerzy Haffner, grodzisko, wybitny malarz Marian Mokwa, działacz kaszubski Antoni Abraham, hipodrom (u Mamuszki jeszcze jako „tory wyścigów konnych”), kasyno gry. O dziwo, brakuje w najnowszej wersji sopockiego przewodnika opisów kilku innych sopockich ikon: Opery Leśnej, Grand Hotelu czy hasła poświęconego np. sopockich rybakom. No, chyba że pojawiają się one w – zapowiadany już nawet przez autora – drugim tomie publikacji.

A ja znów – niestety, albo na szczęście – nie mogę pozostać obojętny i w pełni obiektywny w tej recenzji. No bo przecież to moje rodzinne miasto, w którym się urodziłem i któremu poświęciłem całe życie zawodowe oraz ogromną część swojego autorskiego dorobku. Tomasz Kot dość często zresztą – przywołując liczne pozycje źródłowe, z których korzystał, opracowując swoją książkę – sięga również po wydawnictwa i teksty mojego autorstwa. I – tradycyjnie już – ogromnie cieszę się z każdej nowej książki, która poszerza wiedzę na temat Sopotu i popularyzuje jego najciekawsze miejsca oraz osoby, które odcisnęły wyraźne piętno na – często nie tylko lokalnej – historii i pozostawiły tu po sobie trwałe ślady. A autor przecież już od ponad dwóch dekad daje się poznać jako świetny dokumentalista i „kolekcjoner” miejskich historii, a jego „Spacerownik sopocki” (z szczegółowym opisem proponowanych miejskich tras do zwiedzania) doczekał się dwóch wydań i spotkał się z bardzo dobrym przyjęciem czytelników i skutecznie zachęca do odkrywania na własną rękę mniej znanych zakątków kurortu.

Z kolei w najnowszej pozycji, nawiązującej do bedekerowej tradycji, niezwykle cieszy bogaty rozdział pt. „Ludzie”, w których znajdziemy interesujące informacje o postaciach mniej do tej pory opisywanych w innych wydawnictwach: zapomnianym sopockim malarzu Albercie Lipczinskim (odkrytym po latach na nowo dzięki Anglikowi, Davidowi Binghamowi, który napisał o nim książkę pt. „Malarz niepokorny”), niezwykle zasłużonych dla Sopotu rodzinach Boetcherów i Herbstów, czy sopockich „oryginałach”: Parasolniku, Peterze Konfederacie czy Dżordżu Kanadzie. Należy również pochwalić pomysł, aby każdy zainteresowany czytelnik mógł już na własną rękę rozszerzać swoją wiedzę na opisywany temat, korzystając z licznych podpowiedzi bibliograficznych, dotyczących poszczególnych haseł. Godna uwagi jest też niezwykle staranna kwerenda źródłowa, dotycząca opisywanych spraw. Niestety nie uchroniła ona

jednak autora przed jedną, dość istotną pomyłką. W gronie opisywanych przez niego „Honorowych Obywateli Miasta” zabrakło bowiem Pani Marity Heinsch, prapraprawnuczki dr Jana Jerzego Haffnera, ojca sopockiego uzdrowiska. Jej istnienie odkrył już kilkadziesiąt lat temu wspomniany tu Franciszek Mamuszka. Pani Heinsch mieszkała wtedy na przedmieściach Poczdamu i była emerytowaną nauczycielką. I to właśnie jej dziadkowie sprezentowali miastu na obchody 100-lecia powstania sopockiego kąpieliska w roku 1923 portret swojego zasłużonego przodka, dr Haffnera, który jest dziś własnością Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. Marita Heinsch otrzymała honorowe obywatelstwo uchwałą Rady Miasta z dnia 30 marca 2001 roku p- w ramach obchodów jubileuszu 100-lecia nadania praw miejskich. Z powodu stanu zdrowia nie mogła go odebrać osobiście, ale odwiedził ją wtedy w Niemczech sopocki prezydent oraz Dyrektor Muzeum Sopot, Małgorzata Buhholz-Todoroska. Pani Heinsch zmarła 4 października 2019 roku i została pochowana w Poczdamie. Szkoda, że nie wykryto braku informacji o tej Honorowej Obywatelce przed publikacją, zwłaszcza, że miasto jest przecież patronem tego przedsięwzięcia, zachęcając do lektury i zapewniając ewentualnych czytelników, że to ludzie „są najważniejsi i to oni w ciągu 200 lat historii kurortu budowali tożsamość Sopotu”.

Oczywiście to przeoczenie w znaczący sposób nie wpływa na ogólną pozytywną ocenę tej pozycji, ale warto na pewno o nim pamiętać przy okazji kolejnego wydania i naprawić ewidentny błąd, „bo królowie i rządy mogą się mylić/ Ale nigdy pan Baedeker”. To, drodzy państwo, cytat z libretta jednej z XIX-wiecznych oper, który dobitnie dowodzi, jak bardzo ceniono wtedy turystyczno-podróżnicze poradniki Karla Baedekera, do którego dziedzictwa nawiązuje również ten najnowszy „Bedeker Sopocki”, z którego na pewno korzystać będą wszyscy, zainteresowani nie tylko powierzchownym poznaniem atrakcji i historii kurortu. Ale w ramach przestrogi – właśnie dla nich, i dla wszystkich innych turystów odwiedzających współczesny Sopot warto na koniec przytoczyć powiedzenie Pana Baedekera, który nigdy się zdewałowowało: „podróżowanie wiąże się po pierwsze – z pieniędzmi, po drugie – z pieniędzmi i po trzecie – z pieniędzmi”. Patrząc na dzisiejsze ceny sopockich noclegów (nie mówiąc już o bijących wszelkie rekordy cenach nadmorskich mieszkań, domów i apartamentów), powinniśmy je zamieszczać również jako motto wszystkich współczesnych przewodników i bedekerów.

Wojciech Fułek

Świeszewski także inny

Olga Krzyżyńska

Artysta malarz Maciej Świeszewski najbardziej znany jest ze swoich dużych, „mocno zatłoczonych” dużych kompozycji malarskich, kojarzących się z twórczością Bronisława Wojciecha Linke, Witkacego czy Tadeusza Kantora. Do takich przyzwyczajał nas przez lata, takie pokazał dziesięć lat temu na wystawie „Ecce homo” w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.



Z wystawy „W labiryncie” Macieja Świeszewskiego | fot. Anna Ręzulak, materiały promocyjne wystawy

Od czasu tamtej wystawy w twórczości artysty pojawił się jednak inny nurt – powikłany, abstrakcyjny, charakterystyczną kreską nawiązujący do wcześniejszych rysunków, ale jednak zdecydowanie odmienny.

Ten nowy nurt, cykl malarski, twórca nazwał „W labiryncie”. Po raz pierwszy mogliśmy go podziwiać podczas wystawy retrospektywnej w Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia” w Gdańsku w 2017 „Maciej Świeszewski. Rysunek”, zorganizowanej w ramach jubileuszu 40-lecia pracy twórczej autora. Właśnie rysunki, grafiki od początku drogi twórczej tego artysty były jego mocną stroną. Już w rok po dyplomie, obronionym u profesora Jacka Żuławskiego w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku (obecnie ASP, od 1976 roku), jego praca zdobyła w Gdańsku tytuł „Grafiki Roku”. Rok 1979 przyniósł medal za rysunek na

Biennale Sztuki Gdańskiej, odbywającym się w Biurze Wystaw Artystycznych w Sopocie. Cenione były również jego osiągnięcia w dziedzinie malarstwa – między innymi. w 2006 roku otrzymał Nagrodę im. Kazimierza Ostrowskiego w wybitne osiągnięcia w tej właśnie dyscyplinie.

Maciej Świeszewski nie rozstaje się ze szkicownikiem. Jak sam mówi rysuje codziennie, bo rysunek to podstawa rozwijania warsztatu twórczego. Jednak jego prace rysunkowe są też odrębnymi, autonomicznymi dziełami sztuki, będącym świadectwem precyzyjnego warsztatu artysty. By się o tym przekonać warto sięgnąć po dwutomową monograficzną publikację poświęconą twórczości rysunkowej Macieja Świeszewskiego, zawierającą eseje o jego twórczości oraz bogaty zestaw reprodukcji prac.



Z wystawy „W labiryncie” Macieja Świeszewskiego | fot. Anna Rezulak, materiały promocyjne wystawy

Na najnowszej, pierwszej od siedmiu lat indywidualnej wystawie w Gdańsku, Maciej Świeszewski zaprezentował prace powstałe w ciągu ostatnich pięciu-sześciu lat. Są to obrazy olejne, wszystkie z tytułowego cyklu „W labiryncie” – niektóre monochromatyczne, inne utrzymane w bogatej gamie kolorów i o różnych formatach – zarówno duże jak i miniatury. Wystawę można było oglądać przez miesiąc w galerii Pinakoteka Małgorzaty Radomskiej przy ulicy Norwida w Gdańsku Wrzeszczu, od połowy czerwca do połowy lipca 2024.

Jak czytamy we wstępie do skromnego katalogu prezentowane prace „stanowią swoisty dziennik ostatnich lat. Świata, gdzie stabilność stała się reliktem przeszłości. (...) Pandemia, wojny, kryzysy przychodzące jeden po drugim.” Właśnie ten stan otaczającej rzeczywistości znalazł odzwierciedlenie w prezentowanym cyklu obrazów „W labiryncie”. Można w nich rozpoznać charakterystyczny dla Macieja Świeszewskiego sposób rysowania, ale próżno tu szukać typowych dla kompozycji prezentowanych na wystawie „Ecce Homo” zakręconych, pokraccznych postaci. Artysta przenosi nas w światy na pozór wymyślone, abstrakcyjne, niefiguralne – zdradzające jednak liczne odniesienia do rzeczywistości, otaczającego życia, przyrody. Świeszewski bowiem nie chce uciekać od rzeczywistości – po prostu przekłada ją na nowy, tętniący kolorami malarski język. Formy i linie nieustannie się zmieniają, przeplatają jedna w drugą, pulsują. Zaskakują oryginalne zestawienia barw. Obrazy są kontynuacją rysunkowych eksperymentów, prowadzonych przez artystę mniej więcej od około dziesięciu lat, a których część pokazał na wspomnianej tu już wystawie w Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia” w 2017 roku. Obrazy powstawały także pod wpływem podróży twórcy do państw Dalekiego Wschodu, takich jak Chiny czy Kambodża. Można się w nich doszukać in-

spiracji rodem ze sztuki tamtejszych twórców. To swoiste „abstrakcyjne depesze artysty ze świata, który podąża w niewiadomym kierunku, a przyszłość zamiast nadziei budzi przede wszystkim niepokój.” Obrazy są psychodeliczne, hipnotyzujące, wciągające w swój świat. Dobrze jest wybrać sobie w nich jedną rysunkową linię, bo podążając za nią spróbować w ten świat wejść i może zrozumieć co nieco także z osobowości jego twórcy.

Artysta malarz Maciej Świeszewski przyszedł na świat w Sopocie w 1950 roku. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, gdzie w 1976 roku obronił dyplom w pracowni profesora Jacka Żuławskiego. Jego mistrzami byli też profesorowie: Władysław Jackiewicz i Jerzy Zabłocki. Po studiach nie tylko brał udział w wystawach – związał się też zawodowo z macierzystą uczelnią jako pedagog, przechodząc przez wszystkie stopnie awansu zawodowego, aż do uzyskania tytułu profesora w 1994 roku. Do najbardziej znanych prac Macieja Świeszewskiego należą monumentalna *Ostatnia wieczerza*, którą tworzył przez dziesięć lat od 1995 do 2005 roku, pracując we wnętrzu gdańskiego kościoła św. Bartłomieja. Zostali na nim uwiecznieni ludzie kultury i sztuki jak pisarze Stefan Chwin i Paweł Huelle, malarze Kiejstut Bereźnicki i Krzysztof Izdebski, aktor Jerzy Kiszka, a także duszpasterz środowisk twórczych ksiądz Krzysztof Niedałowicz i twórca Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego, Jerzy Limon. Z inspiracji obrazem powstała książka Pawła Huelle *Ostatnia wieczerza* (2007). Od 2016 roku *Ostatnia Wieczerza* jest eksponowana w hali przylotów gdańskiego lotniska.

Maciej Świeszewski jest twórcą nagradzanym i wyróżnianym. Jego prace znajdują się w licznych zbiorach publicznych i prywatnych w kraju i za granicą.

Olga Krzyżyńska

Machać ręką nie należy

Bożena Ptak

Niegdyś natychmiast reagowałam, kiedy uważałam, że w jakiejś ważnej sprawie należy zabrać głos. Obecnie czuję się bardzo do tego zniechęcona. Niegdyś poza mediami oficjalnymi z interwencją cenzury istniały tak zwane *pisma podziemne*, drukujące teksty opozycji. Mam ochotę krzyczeć: Cenzuro wróć!

Nie o to wojowałam w czasie strajku w stoczni w 1980. roku, narażając się także w stanie wojennym itd.. Nie widzę obecnie popularnej gazety, która wydrukowałaby mój tekst o odstonięciu pamiątkowej tablicy poświęconej ceni-nemu przez wielu pisarzowi, akademikowi Zbigniewowi Żakiewiczowi. Chciałam napisać o tej uroczystości po powrocie z ulicy Kościuszki we Wrzeszczu, przy której mieszkała rodzina prozaika, ale w końcu machnęłam ręką. Jestem stara i zmęczona, ale jedno chciałabym powiedzieć młodszym: Machać ręką nie należy. Kiedy widzimy złó, należy krzyczeć i protestować.

Będąc prezesem Gdańskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zagadnęłam w Urzędzie Miasta Gdańska na temat tej tablicy. Usłyszałam wówczas: „Żakiewicz? A jaki to tam pisarz!” No i machnęłam ręką. Na szczęście rodzina była bardziej uparta i po wielu bojach upamiętniającą tablicę ufundowano. O dacie jej odstonięcia dowiedziałam się pocztą pantoflową.

Zbigniew Żakiewicz dla wielu był postacią ważną i znaczącą nie tylko jako pisarz i akademik, ale także jako człowiek, dyskutant i gospodarz domu, w którym wrzało ciekawe życie.

Teatr Wybrzeża grał sztukę dla dzieci *Kraina 105 tajemnicy* i nie tylko kresowiaci zaczytywali się w książkach pisarza. Rubaszny gość z dzisiejszej Białorusi miał odbiorcom wiele do powiedzenia, a ja osobiście dumna jestem, że wraz z poezją pojawiłam się w jego prozie. Tymczasem syn Maciej ponad rok borykał się w sprawie tablicy z władzami miasta Gdańska. W końcu zapadła pozytywna decyzja, ale na uroczystości nie pojawił się nikt z „oficjeli”. Owszem, było kilka znanych osób - znajomych, współpracowników akademickich, przyjaciół, ale głosu nie zabrał ani przedstawiciel władz miasta, ani przedstawiciel władz uniwersytetu. Smutne to i żenujące. Mogliśmy usłyszeć syna Macieja i jego żonę, Jerzego Kiszkiisa, Bogusia Żyłkę, Kazika Nowosielskiego, Adama Hlebowicza... Nikt nie został oficjalnie poinformowany o zdarzeniu, bo działała tylko „pocztą pantoflową”. Na przykład państwo Chwinowie, Alina Kietrys bardzo żałowali, że nic o odstonięciu tablicy nie wiedzieli, bo na pewno by się pojawili. Nawet za komuny taka sytuacja byłaby niedopuszczalna. Doczekaliśmy smutnych czasów ignorancji i arogancji.

Słów brak...

Bożena Ptak





Swingujący trzask migawki

Marcin Jacobson

– Jeżeli musisz o to zapytać to znaczy, że tego nie zrozumiesz – tak na pytanie: „czym jest jazz?” odpowiedział przed laty Louis Armstrong. Może był to genialny unik, ale czyż da się znaleźć celniejszą odpowiedź?

Jazz jest dźwiękowym zjawiskiem, które od kilkunastu dekad intryguje sporą część naszej ziemskiej populacji, ale też czasem wywołuje skrajne emocje. Ich źródłem bywa instynktowna wrażliwość, ale też realne postrzeganie świata spętanego za sprawą wszechobecnego miar, wag, kodów i przepisów, kontrolowanych przez cyber-chmurki. Tworzą one też nam iluzję atawistycznej komunikacji, która, po prawdzie, znieczula i wypacza międzyludzkie relacje. W przypadku jazzu nawet najtęższe głowy nie są w stanie wcisnąć tego procesu w jakieś ramy, a i najlotniejsze pióra nie potrafią tego ogarnąć. Wymownym wydaje się też to, że w kłopot mniejszym stopniu dotyka twórców sztuk wizualnych, którzy czasem potrafią pokazywać bliźnim, co muzykom w duszy grywa. Oczywiście nie zawsze się to udaje, ponieważ taka pełna dźwięków i emocji pepiniera przypomina turbo-kameleona. Wynika to z faktu, że twórcy operujący ołówkiem, pędzlem, dłutem lub myszą bez ogonka, po prostu za tym nie nadążają. Z drugiej strony, artyści wizualni są kreatorami, którzy potrafią zapamiętywać magię takich chwil i odtwarzać je namacalnie, choć nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. Dzisiaj jest im oczywiście łatwiej, albowiem obecne technologie zapisują te rzeczy niemal jeden do jednego.

Kilkadziesiąt wieków temu, w czasach kamienia łupanego, nasi protoplaści, nie mając innego wyjścia, walczyli o przetrwanie. Po drodze próbowali dogadywać się z naturą, tworzyć wynalazki, ale też nawiązywać ponadregionalne relacje. Równolegle tworzyli dla siebie strefę relaksu, która duchowo ich ubogacała. Rejestrowali też to po swojemu i przekazywali swoje spostrzeżenia sąsiadom i okolicznej gawiedzi. Uczyli się na swoich i obcych błędach, przekazując wiedzę kolejnym pokoleniom. Zajmowali się swą wyobraźnią, sięgając po glinki, pigmenty, patyczki i słomki, tworząc – za ich pomocą – w jaskiniach i na skalnych wykrotach obrazki oraz kulfony, będące zaczątkiem liternictwa. Później konstruowali dłuta, pędzle i szpachle, w których miejsce weszły nie tak dawno komputery, tablety i smartfony.

W dziedzinie dźwięków nasi praszczurowie najpierw, w na-

turalny sposób, kopiowali ptasie trele, ryki, chrząkania i szczeki czworonogów, a następnie, idąc za głosem serca i duszy (o jej istnieniu wtedy nie wiedzieli), tupali, bębnilo i klaskali, tworząc potem tarabany, zozulki i inne ektary. Obrazki takie i dźwięki przenikały się wzajemnie, stając się motywatores ich wyobraźni, a co za tym idzie dodatkowym źródłem fantazji i konfabulacji. Arsenal takich zjawisk i narzędzi pęczniał powoli, acz systematycznie, co wymagało nie lada mozołu. Na przełomie dwóch minionych wieków wszystko to zaczęło być tłamszone, bo budowano pierwsze mechaniczne rejestratory dźwięku i obrazu. Otworzyły one oczy i mózgi większości ziemian, ale już niebawem zaczęła je przemykać elektronika. To dzięki niej wymyślono przeróżne pecety i syntezatory, które stały się źródłem unifikacji, ale też krynicą zbędnych informacji, wywołujących mentalny chaos i tłumiących humanoidalną wrażliwość. Doszło do tego, że te nowe technologie nie wymagają już specjalnego wysiłku, więc ludziom pozbawionym talentu i wrażliwości pozwalają tworzyć iluzję osobniczej twórczości, która często bywa tylko patchworkiem cudzych dokonań. Żeby było jeszcze śmieszniej, nie trzeba już nawet zszywać tych kradzionych strzępów, bo da się to zrobić za sprawą sztucznej inteligencji (AI).

Na szczęście pewna część naszego pokolenia już to zauważyła i dlatego stara się odchodzić od takiej sterylnej mechaniki i tandety. Prawdziwi artyści nadal pracują pędzlem, rysikiem lub dłutem, muzycy używają akustycznych instrumentów, a kochający jazz fotograficy nie uciekają od trzasku migawki. Oczywiście jest to o wiele szerszy temat czego dowodzi, że w elektrycznych autach montowane już bywają delikatne imitatory szumu spalinowych silników, producenci wgrywają w nagrania szum taśmy magnetofonowej, a filmowcy wpuszczają w swe elektroniczne kadry analogowe mgiełki. Innym, większym problemem, wydaje się w tym wszystkim to, że nasza pamięć teraz wietrzeje, bo mamy ją w Internecie, a to umniejsza gibkość szarych, mnemonicznych komórek. Jeżeli ktoś ma wobec tej tezy wątpliwości, niech sprawdzi kto dzisiaj pamięta wspaniałe zdjęcia Zygmunta Grabowieckiego, zwanego Kubą, o którym słynny fotografik Marek Karewicz, powiedział: – „Od niego to ja się mogę tylko uczyć”.

Marcin Jacobson

Wrócić, by opowiedzieć

z Romanem Warszewskim, pisarzem, reportażystą, podróżnikiem rozmawia

Katarzyna Korczak

9 kwietnia 2024 roku odebrałeś Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Zaraz po uroczystości umówiliśmy się na wywiad, powiedziałaś wtedy:

„Jeździłem po świecie by to, co w drodze odnalazłem, przenieść w świat literatury – najczęściej literatury faktu. [...] Zamierzam dalej czynić to, co dotąd robiłem. Dopóki wystarczy tchu w piersiach, dopóki będzie prąd w komputerze. A gdy i jego miałyby zabraknąć, zawsze pozostaną nam jeszcze gliniane i drewniane tabliczki do misternego rzeźbienia, od których pisanie kiedyś się zaczęło.”

Drewniane tabliczki, to dobry początek naszej rozmowy. Wróćmy do 1977 roku. Prasę ogólnopolską i światową, obiegra wiadomość: uczeń liceum ogólnokształcącego w Elblągu, Roman Warszewski, odczytał pismo rongo–rongo powstałe na Wyspie Wielkanocnej. Mój ojciec wyczytał o tym w „Polityce”, z podziwem rozmawialiśmy o Twoim odkryciu. Parę lat później poznaliśmy się w „Dzienniku Akademickim”, kontakt mamy do dziś. Jak tego dokonałeś? Nie było Internetu, wyjazdy do egzotycznych krajów znajdowały się w sferze marzeń.

O piśmie czytałem w różnych książkach. Po raz pierwszy zobaczyłem je w *Wyspie tajemnic* Jacka Machowskiego. Zainteresowałem się, bo było bardzo ładne, zafascynowała mnie jego strona graficzna. Zacząłem studiować w jaki sposób odczytuje się pisma. Dowiedziałem się gdzie znajdują się drewniane tabliczki z rongo–rongo. Pisałem do muzeów, żeby ściągnąć ich fotokopie. Znałem angielski na tyle, że mogłem się komunikować. Naukowcy potraktowali mnie poważnie. Na kopertach było – sic! – napisane: „Profesor Roman Warszewski”. Zacząłem dostawać fotokopie tych tabliczek. Katalogowałem je. Ale żeby odczytać pismo trzeba mieć ten sam tekst w różnych wersjach. Po jakimś występie w telewizji zgłosiła się ambasada brytyjska. Dostałem stypendium. W Bibliotece Brytyjskiej natrafiłem na tekst w dwóch wersjach: w rongo–rongo z X – XI wieku naszej ery i, po angielsku, w dzienniku z wyprawy Jamesa Cooka z XVIII wieku. Teksty były tożsame. Zestawiłem je, można było odczytać pierwsze hieroglify.

Co zapisano?

To rytualna pieśń o tak zwanym dniu wielkiej ostrygi, kiedy tubylcy z Wyspy Wielkanocnej wyptywali, żeby zacząć sezon

połowów. Na podstawie porównania tekstu kluczowego z tym, co znajdowało się w dzienniku, udało się ustalić znaczenie podstawowych znaków w tym piśmie. Bo jeżeli masz dwa teksty, które mówią o tym samym, to możesz ustalić, który znak czemu odpowiada. Zestawiłem te teksty jako pierwszy.

Jak?

Przede wszystkim używa się do tego logiki. I znałem już sposoby odczytywania innych pism, takich jak hieroglify egipskie, wiedziałem, jak zrobił to Champollion, posługując się kamieniem z Rosetty.

Wszystko to bez uszczerbku w wynikach nauki szkolnej, więcej – maturę zdałeś w trzeciej klasie licealnej. Wybiegałeś wśród rówieśników daleko poza przeciętną.

Nie określiłbym tego w ten sposób. Byłem, po prostu dzieckiem, które nie za bardzo lubiło wychodzić na dwór. Ciągłe zajęty byłem różnymi rzeczami, rzeczami bardzo interesującymi, które dawały mi dużo satysfakcji. Miałem świadomość, że jest to coś innego, niż robią inni. Ale trzeba sobie jakąś metodę wypracować. Zajęcie było pasjonujące, ale i pracochłonne. Dużo się załatwia poprzez pracę i czas, który się zagadnieniom poświęca. Mama obawiała się, że nadmiar umysłowej pracy może odbić się na mojej kondycji fizycznej, ale z drugiej strony z satysfakcją przyjmowała fakt, że licealista zajmuje się poważnymi sprawami. Zainteresowania pierwotnymi ludami, kulturą dosyć odległą, ukształtowały moje dalsze działania. Młodzi ludzie interesują się egzotyką, dalekimi podróżami, odkryciami, ale z czasem to mija. Ja w to uwierzyłem i potem od fascynacji nie odszedłem. Pasja trwa do dzisiaj.

Co jeszcze wyczytałeś z drewnianych tabliczek z pismem rongo–rongo?

Niewiele ich się zachowało, ponieważ większość tych tabliczek spalili misjonarze. A ponieważ zachowało się ich mało, trudno jest je odczytywać. Tam były spisy zawartości magazynów z żywnością. Na jednej z tabliczek, która jest teraz w Muzeum Królewskim w Brukseli, znajdowały się zapisy



Roman Warszawski na stokach Góry Siedmiu Kolorów, Vinicunca, Andy, na północny wschód od Cuzco, Peru, 2018 rok | fot. z archiwum rodzinnego

sekwencji królów Wyspy Wielkanocnej. Ale to jest charakterystyczne, w piśmie klinowym także najwięcej zapisów dotyczyło tego, co znajduje się w magazynie królewskim. Dużym szczęściem było, że w dziennikach marynarza oficera z wyprawy Cooka był tekst billingiczny, podwójny. To pozwoliło zinterpretować znaczenie podstawowych znaków. To działanie miało jeszcze inny walor poznawczy. Struktura graficzna pisma wskazywała na pokrewieństwo z pismami, które rozwijały się w Ameryce prekolumbijskiej w Peru. Wykazałem wtedy związek między pismem fasolkowym kultury Paracas Nekropolis i Paracas Tavernas z pierwotnymi znakami rongo – rongo. I to miało o tyle znaczenie, że istniały domysły, że miała miejsce w przeszłości migracja ludów z Ameryki prekolumbijskiej w stronę Polinezji, a to pismo, poprzez pokrewieństwo morfologiczne, graficzne, było bezpośrednim dowodem, że do tego rzeczywiście doszło. Korespondowałem na ten temat z Thorem Heyerdahlem, który, jako jeden z pierwszych, sformułował tezę o związku kultur prekolumbijskich z Polinezją Wschodnią, z Wyspą Wielkanocną, na którą – notabene – po wielu innych peregrynacjach trafiłem w roku 2003.

I w tym momencie zacząłeś interesować się kulturą Peru?

Między innymi dlatego, że udało się wykazać związek pisma rongo-rongo z pismem Paracas Necropolis i Paracas Tavernas, zwróciłem się ku Peru, jako krajowi, który wydawał mi się szczególnie interesujący. Gdy nadarzyła się okazja, po wielu latach pojechałem tam.

Studiowałeś wtedy handel zagraniczny na Uniwersytecie Gdańskim.

Tak, byłem na trzecim roku i pojechałem do Saarbrücken, do RFN, na studia podyplomowe dotyczące integracji europejskiej. Podczas praktyki poznałem rówieśników ze Wschodu i Zachodu, którzy stali się bohaterami mojej książki, zatrzymanej przez cenzurę, a wydanej dopiero w tym roku pod nieco zmienionym tytułem *Historię zacząć od jutra*. W Niemczech zastał mnie stan wojenny. Miałem stypendium, żeby dorobić poszedłem do pracy w mleczarni, położonej dosłownie) na granicy niemiecko-francuskiej,



Roman Warszawski z Arkadym Radostawem Fiedlerem, synem Arkadego Fiedlera, w przydomowym ogrodzie w Gdyni, sierpień 2024 | fot. z archiwum rodzinnego

i tam, wśród tumanów mleka w proszku, zarobiłem na pierwszą podróż do Ameryki Południowej.

Nie bałeś się?

Przed wyjazdem, kiedy jeszcze mój hiszpański nie był tak dobry, ale już go znałem, przyznaję, byłem pełen obaw. Pojechałem sam, z plecakiem.

Co mama na to?

Była w Polsce, wiedziała, że chcę się tam wybrać i że kiedy nadarzy się okazja, zrobię to. Gdy wylądowałem w Peru, trwały protesty robotnicze, obowiązywał stan wyjątkowy, po ulicach jeździły opancerzone pojazdy, panowała napięta atmosfera. Byłem dosyć przestraszony. Znalazłem sobie hotel, San Sebastian się nazywał, pamiętam go, potem, przez trzydzieści lat jeździłem do Peru regularnie i wielokrotnie obok tego hotelu przechodziłem, zaglądałem, jak go przerabiali. Powiem ci, że myślałam wtedy, że nie powinienem się zapuszczać w głąb tego kraju, że powinienem wrócić, ale nie było możliwości żeby zmienić mój bilet lotniczy, na którym była data za trzy miesiące. Musiałem jechać dalej. Listy odbierałem na poste restante w różnych miejscach. Mama nie była zachwycona, tak samo, jak mój dziadek, który pisał: „Dokąd ty jedziesz, do ludożerców?!” No, ale cóż, ciąg do świata był mocniejszy. Warto było zaryzykować i wypuścić się na szerokie wody. I tak już zostało na całe życie.

Twoje podróże są forsowne i niebezpieczne. Dziwić może, że osoba, która nie zajmowała się sportem wyczynowym i nie należy do najsilniejszych, naraża się na wielkie wysiłki i trudne do przewidzenia niebezpieczeństwa.

Wspomnę choćby drogę do Chavin de Huantar, kiedy wysadzone w powietrze kamienie leciały mi na głowę, bo akurat budowano drogę, którą jechałem, a mnie bardzo się spieszyło. To, doprawdy, było bardzo dramatyczne. W 2019 roku prawie zostałem w dżungli na zawsze, jak z prof. Kazimierzem Krajką szliśmy do petroglifu w Pusharo – tak byłem odwodniony i niedotleniony. Ale – mam zasadę. Staram się nie przekraczać granicy nadmiernego ryzyka. Zawsze myślę: „Można kiedyś wrócić, bo przecież najważniejsze, by móc o tym opowiedzieć i to opisać.”

Pierwsza podróż przyniosła nad podziw dobre owoce.

Dlatego mówię, że warto było zaryzykować. Nazbierałem wtedy materiał o organizacji terrorystycznej Światlisty Szlak w Peru. Po powrocie do Niemiec przez trzy miesiące, był rok 1983, pisałem książkę *Pokażcie mi brzuch terrorystki*. Mieszkalem w akademiku, sąsiad, Palestyńczyk, zapytał mnie: „A co ty piszesz na tej maszynie?” Odpowiedziałem: „Wiesz, ja piszę książkę.” A on: „A co, nie możesz jej skserować?” Nie przychodziło mu do głowy, że ktoś w akademiku może pisać książkę.

Wydana tego lata pozycja *Historię zacząć od jutra* powstała w 1981 roku. Miałeś wtedy dwadzieścia dwa lata. Zwracają uwagę – syntetyczny, do granic możliwości, dojrzały język i zawarte w nich treści uniwersalne. Wiesz, co dziś dzieje się z postaciami występującymi w reportażach?

Książka wyszła dopiero tego lata, bo w 1981 roku, kiedy miała się ukazać, zdjęta ją cenzura! Bohater rozdziału *Rysunki na korze* mieszka niedaleko mnie w Gdyni, komunikujemy się nieprzerwanie od czterdziestu lat. Claudio Alemany, bardzo krytyczny wobec Pinocheta i wydany przez niego za granicę, dzisiaj mówi: „Wiesz, Pinochet pod wieloma względami miał rację, dobrze uporządkował gospodarkę”. Kto wie, może – choćby w formie artykułu – napiszę jakiś aneks do tej książki o postaciach, z którymi mam kontakt do dzisiaj.

Otrzymałeś Nagrodę Bursztynowego Motyla im. Arkadego Fiedlera za książkę *Pierwsza wojna polsko – indiańska. Ameryka Łacińska w pół drogi*. Dołączyłeś do grona laureatów, wśród których są: Stanisław Szwarc- Bronikowski, Jacek Patkiewicz, Ryszard Kapuściński, Olgierd Budrewicz, Elżbieta Dzikowska. Gratuluję!

Bardzo się cieszę, nie wiedziałem, że wydawca zgłosił moją pozycję do tego konkursu, który w okresie pandemii uległ zawieszeniu. To znacząca nagroda dla autorów, zajmujących się reportażem podróżniczym. Wręczenie odbędzie się 16 września 2024 roku w Muzeum-Pracowni Literackiej Arkadego Fiedlera w Puszczykowie. Zastanawiam się, co przy tej okazji powiedzieć. Niedawno gościłem u siebie w Gdyni Arkadego Radosława Fiedlera – syna Arkadego Fiedlera, który osobiście przywiózł mi wiadomość o przyznanej nagrodzie.

Wydaje mi się, że w poznawaniu nieznanych krain, zgłębianiu tajemnic ich kultur, docierasz poza granice wyznaczone przez naukę.

Nie ukrywam, kilka razy korzystałem ze środków halucynogennych, idąc trochę śladami Witkacego. Uczestniczyłem z szamanami w ceremoniach, podczas których spożywa się wywar z rośliny o nazwie ayahuasca, po łacinie *Banisteriopsis caapi*. To, moim zdaniem (choć dla wielu zabrzmi to zapewne obrazoburczo) poszerza świadomość, jesteś przytomna cały czas, widzisz więcej, widzisz, jak rzeczy są z sobą powiązane. W postaci nici świetlistych widzisz, jak wszystko się ze sobą łączy: rośliny – ludzie – zwierzęta. Przypomnę moją książkę *Tajna misja Eldorado*. Opisuję w niej wyprawę w poszukiwaniu ruin legendarnego Eldorado. Dostałem od ojca Edmunda Szeligi mapę, według której mieliśmy dotrzeć do złotego miasta. Po zażyciu ayahuaski widzi się wszystko na żółto, na złoto. I – moim zdaniem – mit Eldorado powstał dlatego, że oni zażywali tę substancję i, po jej spożyciu, im się wszystko świeciło. Myśmy na końcu wyprawy, niby na

pocieszenie, wypili tę ayahuaskę i doszliśmy do wniosku, że mityczne Złote Miasto istnieje tylko w przestrzeni psychicznej i dlatego do tej pory nie zostało odnalezione w naturze. Złoty obszar trzeba zatem szukać w sobie, a nie na zewnątrz. Ayahuasca uczy cię też rozpoznawać, kiedy ktoś kłamie, co potem wielokrotnie pomagało mi w kontaktach z... moimi pracodawcami.

Interesują mnie na pewno rzeczy z pogranicza, chcę dotrzeć tam, gdzie się kończy poznanie naukowe, a zaczyna intuicyjne i wchodzenie w podświadomość. Tak samo, jak z Eldorado, działa się prawdopodobnie z Arką Przymierza. Arka Przymierza to był kawałek drewna de facto, skrzynia z akacjowego drewna. Ale jak lewici zażyli halucynogenne substancje i tańczyli wokół, to ta skrzynia dla nich od razu stawała się błyszcząca i złota.

Masz umysł konkretny, jesteś z wykształcenia ekonomistą, a z drugiej strony próbujesz dostać się w obszary duchowe, nie zbadane.

I się bardzo dobrze tam czuję, dlatego teraz otwieram nowy etap podróży – do Indii, na subkontynent.

Wspominałeś, że pierwszą podróż, zanim dotarłeś do Ameryki Południowej, odbyłeś do Indii, i że postanowiłeś tam nie wracać.

Tak, doszedłem wtedy do wniosku, że jak będę jeździł do Indii, to nic w życiu nie napiszę, bo bym tam bez przerwy lewitował. Poszedłbym do jakiegoś aszramu, wziął udział w medytacjach, i nic by już mnie więcej nie interesowało. A chciałem pisać. Teraz natomiast jestem na takim etapie, że moje życie nieuchronnie zbliża się do końca. Chcę wrócić do Indii i poświęcić się przechodzeniu na drugą stronę.

Zwierzylesz mi się, że w czerwcu tego roku byłeś w Indii. Nie podzieliłeś się wrażeniami.

Byłem. Jestem bardzo zadowolony. I myślę o następnym wyjeździe. To był mój powrót do Indii, nazwijmy go tak – wizualny. Byłem w ciekawym miejscu, w wysokich Himalajach, w Ladakhu, w tak zwanych Małym Tybecie w kilku klasztorach buddyjskich. I to jest wstęp do tego, co będzie dalej. Powrót do miejsca, w których kiedyś wylądowałem zimą roku 1985. Wspomnę, że w latach 90. na Słowacji brałem udział w medytacji śmierci – *phowa*. To jest intensywna kilkudniowa buddyjska medytacja. Odbywałem ją to pod kierunkiem słynnego duńskiego lamy, Ole Nydhala. W pewnym momencie otwiera ci się tak zwane trzecie oko... Jeśli to dla kogoś zbyt mocne, odsyłam do *Ziemi Ulro* Czesława Miłosza. Przeczytajcie! Ta medytacja daje ci siłę duchową. Buddyści uważają, że w momencie śmierci pozwala bezpośrednio przejść w stan nirwany, czyli do najwyższego stanu duchowego zaawansowania i oświecenia.

Szukasz tego, o czym Adam Mickiewicz mówi w balladzie *Romantyczność*:

(...) „Czucie i wiara silniej mówi do mnie

Niż mędrca szkiełko i oko (...)”.

Wiesz, że balladę opatrzył mottem zaczerpniętym

z Szekspira:

„Methinks, I see... where?

– In my mind's eyes.”

Oczywiście. Nie bez kozery wspominałem przed chwilą o Miłoszu. Z niemałą satysfakcją, po czterdziestu latach, wróciłem do wspomnianej *Ziemi Ulro*, czytałem ją w 80. latach w nielegalnym wydaniu, wyszła nowa edycja. W książce mowa jest o tym, że rozum bezwzględnie opanował świat i że my – prócz tej wizji, bardzo okrojonej przez rozum – nie widzimy nic innego. Miłosz w tej książce wskazuje, że nie możemy się do tego ograniczać. Pisze tam o Mickiewiczu jako o romantyku, daje do zrozumienia, że wizja ściśle naukowa jest fragmentaryczna i w postrzeganiu rzeczywi-

stości pozbawia nas wielu istotnych wymiarów, bez których, de facto, jesteśmy bytami kalekimi i niepełnymi.

W publikowanej przez Fundację Światło Literatury Gazecie Literackiej „Migotania”, z którą jesteś związany od wielu lat, drukujesz fragmenty reportaży. Ostatnio zamieszczasz również komentarze na temat aktualnych wydarzeń w Polsce i na świecie, sygnowane pseudonimem Wit Romanowski. Spostrzeżenia i przemyślenia są głębokie, bywa przerażające i złowieszcze. Podpierasz je rzetelną wiedzą i znawstwem tematów, wielkim czytaniem, powołujesz się na autorytety ze wszystkich kontynentów. Mam wrażenie, że rysuje ci się w głowie obraz tego, co w najbliższym czasie może czekać ludzkość.

Myślę, że świat dotarł do takiego momentu, że – być może – zasłużył, żeby przejść przez ogień wojny, aby nastąpiło oczyszczenie i powrót do rozumu. Bo świat jest tak zdeprawowany, że trudno liczyć na to, że znajdą się procesy, które zdołają go oczyścić. Być może potrzebne jest wielkie,



Grzegorz Kłaman *Pneuma* 1996 | fot. z archiwum autora

zbiorowe nieszczęście, które będzie mogło zmienić to, co się w tej chwili dzieje. Punktem wyjścia do cyklu tych komentarzy, zawsze jest książka. Zważ, że przez jakiś czas pracowałem na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie tego typu retoryka była częścią wykładów i ćwiczeń. Ekonomia, która studiowałem, łączy wiele różnych wątków. Na tym właśnie polega siła ekonomii, że ona daje ci dostęp do różnych dziedzin nauki. W najbliższym numerze *Migotań* będzie tekst o książce *Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości* psychologa społecznego prof. Michała Bilewicza o tym, jak Polska jest strauumatyzowanym krajem przez to, że mamy za sobą tyle klęsk, tyle wojen, tyle pogromów, i że to dziedziczy się nie tylko poprzez opowiadanie, czytanie, filmowanie, ale że też dzieje się na poziomie epigenetycznym, przechodzi z pokolenia na pokolenie.

P.S.

Jeżeli ktoś nie poznał: autora i jego żony, Luz, Peruwianki, w ich domu, muzeum, z widokiem na Zatokę Gdańską w Gdyni, nie miał możliwości, choć przelotem, popatrzeć na, mieszkających nieopodal, pięknych młodych ludzi: Dominika, Emilię i Leosia Warszawskich, odsyłam do wspomnień Mirostawy Gąsiorowskiej *Zamykając kręgi*. Mama pisarza, reportażysty, podróżnika, z zawodu germanistka, szczerze i wzruszająco opowiada o życiu z rodzicami i dziadkami, o więzi z synem jedynakiem o nadprzeciętnych zdolnościach i wyjątkowej wrażliwości. Podczas wręczenia Gloria Artis wyznała publicznie: „Romku, kocham cię!” On wziął ją w ramiona i rozplakał się. Lektura książki daje odpowiedź dlaczego.

Katarzyna Korczak

K.K. 13 sierpnia 2024

Wyprawy i związane z nimi książki Romana Warszawskiego

2016

Trawers kontynentu na trasie Buenos Aires -Lima przez Argentynę, Brazylię, Paragwaj, Boliwię i Peru. Do przyszłej książki *Transamerica. Wyprawa do źródeł kontynentu*.

2015

Wyprawa do Pusharo - największego petroglifu w peruwiańskiej selwie. Pierwsi Polacy z Pusharo. Rozdział: „Pusharo znaczy kres” w książce *Pierwsza wojna polsko-indiańska*. Książka nagrodzona w 2024 roku Nagrodą Bursztynowego Motyla im. Arkadego Fiedlera

2013

Drugi pobyt w Vilcabambie. Album (razem z Arkadiuszem Paulem): *Drogami Inków do Machu Picchu i jeszcze dalej*.

2009

Wyprawa do Urpity w celu ustalenia faktycznego zasięgu ruin Machu Pucara. W ramach tej wyprawy dotarcie do Inti Huasi – najwyżej położonych ruin Inków (4400 m n.p.m.) oraz

2008 wyprawa do Vilcabamby - ostatniej stolicy Inków i Doliny Vilcabamby w Ekwadorze. Rekonstrukcja życiorysu Inki Paucara, który część społeczności Q'ero z Peru przeprowadził do Ekwadoru. *Książka „Wyprawa Vilcabamba-Vilcabamba. Śladami wojownika, którego nie miał się czas*.

2007

Wyprawa do wysokogórskiego plemienia Q'ero. Książka: *Q'ero. Długowieczność na zamówienie*.

2000

Wyprawa w poszukiwaniu Paititi według mapy o. Edmunda Szeligi w dorzeczu rzeki Maestron. Książka *Tajna misja Eldorado”. Ayahuaskowa teoria genezy mitu o Złotym Mieście*.

1998

Wyprawa na płaskowyż Marcahuasi w Peru. Książka *Marcahuasi - kuźnia bogów*. (Nagroda Ambasady Peru).

1992

Podróż szlakiem ostatniej kampanii Ernesto Che Guevary w Boliwii. Książki: *Skrzydłaci ludzie z Nazca i Boliwia 1966-1967*.

1983

Wyprawa szlakiem terrorystycznej organizacji Świetlisty Szlak. Książki *Pokażcie mi brzuch terrorystki* (Nagroda Młodych za debiut roku w roku 1986) i *Inicjacja* (Nagroda Funduszu Literatury i Stypendium im. Stanisława Wyspiańskiego w roku 1987).

Gloria Artis dla Romana Warszawskiego

Ogród o rozwidlających się ścieżkach

Katarzyna Korczak

Miło nam poinformować Czytelników, że Roman Warszawski, pisarz, dziennikarz, podróżnik, współpracujący z naszą redakcją, uhonorowany został Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. W imieniu Ministra Kultury i Sztuki wyróżnienie wręczył laureatowi wręczył Emil Rojek, Wicewojewoda Pomorski.

– Nie pisze się dla odznaczeń i nagród, pisze się z wewnętrznej potrzeby – powiedział wtedy Roman Warszawski.
– Pisze się wierząc, że ma się coś ważnego do przekazania. Oczywiście, najczęściej jest to tylko złudzenie, bo o prawdziwą oryginalność i odkrywczność bardzo trudno. Nowatorstwo i nowa myśl to najrzadsze z kruszców. Nie

je – łączenie wędrówek myśli z wędrówkami w przestrzeni. Jeździłem po świecie, by to, co w drodze odnalazłem, przenieść w świat literatury – najczęściej literatury faktu.
– Kraina, do której trafiłem, była najprawdziwszym Borgesowskim „ogrodem o rozwidlających się ścieżkach”.
– kontynuował laureat. – Był to ogród bezkresny. Pełen nazwanego i nienazwanego. Ogród materialny, a jednocześnie metafizyczny. Nęcący i urzekający – nieustannie przyciągający ku sobie. Początkowo wydawało mi się, że można go w całości opisać, z czasem jednak poczęłem dostrzegać, że jest to zadanie niewykonalne. Że co najwyżej możliwe jest opisanie jakiegoś jego fragmentu, części, naskórka. Ale to mnie nie zniechęciło. Przeciwnie. Jedynie zmieniło perspektywę. I dziś właśnie dlatego dalej zamierzam czynić to, co dotąd robiłem. Dopóki wystarczy tchu w piersiach, dopóki będzie prąd w komputerze. A gdy i jego miałoby zabraknąć, zawsze pozostaną nam jeszcze gliniane i drewniane tabliczki do misternego rzeźbienia, od których pisanie kiedyś się zaczęło.

Konsul Honorowy Republiki Peru Roman Walasiński przypomniał, że Polska w 1918 roku, jako jedno z pierwszych państw, porozumiała się z Peru w zakresie wymiany dyplomatycznej. Podkreślił, że Roman Warszawski swój wysiłek, pasję i umiejętności poświęcił w kontynuowaniu i budowaniu nowych dobrych relacji pomiędzy Polską i Ameryką Południową, zwłaszcza Republiką Peru.

Romku, w imieniu kolegów i koleżanek z Pomorskiego Magazynu Artystycznego „Słowo” serdecznie Tobie gratulujemy i życzymy kolejnych podróży, których owocem będą nowe artykuły oraz książki!

Uroczystość odbyła się 9 kwietnia 2024 roku w Pomorskim Urzędzie Wojewódzkim.

Katarzyna Korczak



Roman Warszawski (z lewej) i Emil Rojek | fot. Maciej Kostun

wiem, czy ową oryginalność udało mi się osiągnąć choć na kilka chwil, choć na kilkunastu stronicach. Mam cichą, bardzo cichą nadzieję, że może jednak, że może na chwilę, że może choć w jakimś stopniu – skoro przez tyle lat znajduję się czytelnicy. Moją dewizą w pisaniu było – i nadal pozosta-



www.ergohestia.pl

Uprzejmie zawiadamiamy, że kwartalnik „Słowo” jest dostępny **w Gdańsku** w Instytucie Kultury Miejskiej „Kunszt wodny”, Targ Rakowy 11, w Filii Gdańskiej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Mariacka 42; **w Wejherowie** w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Zamkowa 2A

ponadto w bibliotekach Województwa Pomorskiego:

w Brusach w Centrum Kultury i Bibliotece, Dworcowa 18, **w Bytowie** w Bibliotece Miejskiej, Zamkowa 2, **w Człuchowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Szczecińska 5, **w Dziemianach** w Gminnej Bibliotece Publicznej, 8 Marca 14, **w Gdyni** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Świętojańska 141-143, **w Głównych** w Gminnym Ośrodku Kultury, Kościuszki 15 A, **w Gniewie** w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej, Plac Grunwaldzki 16/17, **w Helu** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Komandorska 2, **w Kartuzach** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworzec 4, **w Kwidzynie** w Bibliotece Miejsko-Powiatowej, Kościuszki 54, **w Lęborku** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Armii Krajowej 16, **w Miastku** w Bibliotece Publicznej, Dworcowa 29, **w Morzeszczynie** w Ośrodku Kultury, Kocińska 12, **w Przechlewie** Gminnej Bibliotece i Centrum Kultury, Młyńska 2, **w Pucku** w Bibliotece Publicznej, Sambora 16, **w Redzie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Derdowskiego 3, **w Skórczu** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 7, **w Sopocie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Wybickiego, Goyki 1, **w Subkowach** Gminnej Bibliotece Publicznej, Józefa Wybickiego 19, **w Sztumie** w Sztumskim Centrum Kultury, Nowowiejskiego 14, **w Tuchomiu** w Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 18, **w Wejherowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Kaszubska 14, **w Wejherowie** w Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworcowa 7

Słowa

Pomorski Magazyn Artystyczny



W poprzednich numerach

Erazm W. Felcyn
Krzysztof Kamiński

Kamil K. Pilichiewicz
Wojciech Kass

Zofia Watrak
Moje ciało to informacja

W najbliższych numerach

Anna Janko
O Zbigniewie Jankowskim

Adam Grzybowski
O cenzurze w latach PRL

Małgorzata Żerwe
Kilian Saueressig

Na stronie 51. „Słowa” P.T. Czytelnicy znajdą spis miejsc,
w których dostępny jest nasz kwartalnik

2/2024 (10)
Kwartalnik

ISSN 2956-3739



9 772956 373200